

„CIEKAWÉ POWIEŚCI“ XLIX

J. I. Kraszewski

HRABINA COSEL

Tom I

□ WYDAWNICTWO GEBETHNERA I WOLFFA □

Bezpłatny dodatek „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO“

HRABINA COSEL

CIEKAWEPOWIEŚCI

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY NAJWYBITNIEJSZYM
POWIEŚCIOM I ROMANSOM POLSKIM I OBCYM.

Nr. 1 □ Styczeń 1914

HRABINA COSEL. Tom I.

Redaktor:
ARTUR OPPMAN (Or-Ot) □ Wydawcy:
GEBETHNER I WOLFF

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

HRABINA COSEL

POWIEŚĆ

Tom I



WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — GEBETHNER I SP. □□□□ 1914



Mu/M 1472

DRUK PIOTRA LASKAUERA
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 41.

I.

Na królewskim zamku w stolicy saskiej, jakby wszystko wymarło, cicho było, ponuro i smutno. Noc była jesienna, ale w końcu sierpnia zaledwie gdzieś liść żółknie na drzewach i rzadko wieją wiatry chłodne, dni bywają weselsze jeszcze, a noce jasne i ciepłe.

Tego wieczora jednak dęło z północy i chmury czarne, poszarpane, długie wlokły się jedna za drugą, a na ołowianem tle jeśli mignęła gdzie gwiazdka na chwilę, zgasła wnet w gęstych obłokach. U Georgenthor, w bramach zamkowych, na dziedzińcach przechadzały się strażnicy milczące. Zwykle jasne okna królewskich mieszkań, z których światła i muzyka buchały ochoczo, stały czarne i zamknięte. A była to rzecz niezwykła za panowania Augusta, zwanego Mocnym, bo pan to był mocen do wszystkiego: łamał podkowy i ludzi, smutek i złą fortunę, a jego nie złamać nie mogło. W całych Niemczech, ba, w całej Europie słynął świetny dwór królewski, przy którym gasły wszystkie inne; nikt go wspa-

nialością, smakiem wytwornym i rozrzutnością pańską nie przeszedł, nikt mu nawet nie dorównał.

W tym roku wszakże August doznał klęski. Szwed mu wydarł elekcyjną polską koronę; król, zrzucony niemal z tronu, wygnany z królestwa, wrócił na kurfirstowskie gniazdo, oplakiwać swe straty... wysypało próżno miliony i srogą niewdzięczność Polaków... Sasi nie mogli pojąć, by tak szlachetnego i milego pana można było nie uwielbiać i nie dać się zań zabijać.

August mniej to jeszcze od nich rozumiał. Wyraz niewdzięczność nieodstępnie towarzyszył każdemu Polaki wspomnieniu; wreszcie unikano już nawet mowy o niej, o królu Szwecyi i o tych wypadkach, które August Mocny poprawić kiedyś obiecywał sobie.

Drewno po powrocie Augusta już się nawet bawić zaczynało, ażeby swego pana rozweselić; tylko tego wieczora tak dziwna cisza zapanowała w zamku: dlaczego? nikt nie wiedział. Król przecież do żadnego ze swych zamków nie odjechał, w Lipsku jeszcze się jarmark nie rozpoczął; mówiono nawet w mieście i na dworze, że, na przekór Szwedowi, August nakaże bale, karuzele i maskarady, aby mu dowieść, że swej chwilowej przegranej nie brał tak bardzo do serca.

Rzadcy przechodnie, przesuwający się około zamku ulicami, spoglądali na okna i dziwili się, iż tak wczesnie cisza i ciemność zapanowały u króla. Ktoby był wszakże, minawszy bramę wielką i pierwsze podwórze, mógł się wcisnąć na drugie, przekonałby się, iż zamek spał tylko jednym bokiem, a we wnętrzu jego wrzało jeszcze życie.

Straże tu nie wpuszczały nikogo.

Na pierwszym piętrze, mimo wichru, okna były szeroko poodmykane, z za obsłon, któremi napół tylko były okryte, rześiste światło jarzące migąło, odbite mnóstwem zwierciadeł, a chwilami dobywał się śmiech homeryczny z wnętrza sali, leciał w dziedziniec, przestraszając chodzącą wartę, która słuchać go stawiała, i, obiwszy się o szare mury... powoli słabem obumierał echem...

Śmiechom tym towarzyszyły gwary to słabsze, to silniejsze, rosnące, przechodzące w mruczenie i milczenie... Nagle, jakby po przebrzmiałej mowie, zrywały się znowu oklaski i znowu huczał śmiech homeryczny, królewski, rozłożysty, purpurowy, śmiech istoty, która się nie lęka, by ją kto posłyszał i drugim szydzącym odpowiedział śmiechem... Za każdym wybuchem straż, która z halabardą chodziła, pod oknami stawiała, żołnierz podnosił oczy do góry, wzdychał i spuszczał je na ziemię.

Strasznego coś było w tej uczcie nocnej, wśród zamku śpiącego, wśród burzliwego wichru i milczącej stolicy...

Tam król się weselił...

Od powrotu z Polski, takie uczty wieczorne, nie tłumne, w gronie kilku poufanych ludzi — nazwijmy ich przyjaciółmi — bywały częstsze, niż dawniej; August Mocny, zwyciężony przez dziwaczego, półgłówkiem zwanego Karola XII, wstydził się oczu pokazywać w licznych zebraniach: zabawy i roztargnienia potrzebował, zbierał więc około siebie ulubieńców kilku... Naówczas przynoszono węgryna złocistego, po którego umyślnie słano na Węgry co roku, ustawiano puhary i pili tak aż do dnia, aż do snu, aż do chwili, gdy

wszyscy z krzeseł pospadali, a króla Hoffman pod rękę, śmiejącego się, do łóża odprowadzał.

Do tego grona wybranych kapłanów Bachusa maziarskiego niewiele osób było przypuszczonych: poufali tylko i zaufani a ulubieni Augustowi, gdyż król, po kilku puharach, dla tych, których nie cierpiał, mówiono, był niebezpiecznym. Siłę miał herkulesową... gniew olimpijski a władzę nieograniczoną... W dni powszednie, zrana, gdy się pogniewał, oblicze mu tylko zaszło jakby krwawą łuną na chwilę i oczy błysły i wargi zadrżały, odwracał się, nie patrząc na tego, co go tak rozpromienił; ale po kielichu... niejednen wyleciał oknem i na kamieniach dziedzińca padł, by nie wstać...

Tak ludzie mówili. Gniew jego był rzadki, ale jak piorun straszny. W zwykłym życiu nie było łagodniejszego pana, ani słodsze, ani łaskawsze dla wszystkich. Uważano nawet, że im kogo mniej znosił, tem dlań uśmiech miał miłszy, a w przededniu zaprowadzenia na Königstein, gdzie często dziesiątkami lat faworyci siadywali, August ścisnął ich jeszcze jak najlepszych przyjaciół. Tak szlachetna to była natura, pragnąca ludziom los ich osłodzić.

A bawić się, toć przecie panu potrzeba było koniecznie... cóż dziwnego, że czasem do zabaw sprowadzano dwa głodne niedźwiedzie, żeby się jadły, lub podpajano dwóch zawziętych nieprzyjaciół, żeby się z sobą gryźli... Ten rodzaj rozrywki najmilszym był panu... a gdy się dwóch Vitzthumów, Friesenów lub Hoymów zawzięło jeść z sobą po kielichach, śmiał się do rozpuku... Niewinność to było roztargnienie.

Królowi poróżnić ich z sobą przychodziło bardzo łat-

two, bo wiedział wszystko: kto się w kim kochał, kto kogo nienawidził, ile mu z kasy wzięto niedozwolonym sposobem; nawet co zamyślał który z dworaków, jeśli nie wiedział, to odgadł... Kto mu to szeptał, donosił, kto zdradzał, próżno sobie łamano głowy; kończyło się na tem, że nikt tu już nikomu nie wierzył, że się brat obawiał brata, że mąż się krył przed żoną, że ojciec lękał się syna... a król August Mocny śmiał się z tego motłochu!

Patrzył z góry na komedję życia, nie gardząc w niej olimpijską rolą Jowisza, Herkulesa i Apolina... wieczorami zaś Bachusa.

Tego wieczora właśnie król czuł się tak smutnym i znudzonym, iż wszystkich ministrów, ulubieńców i dworzan postanowił poić i spowiadać, aby się choć trochę rozchmurzyć.

W pośrodku oświeconej sali, której jedną ścianę zajmował srebrem i puharami jaśniejący bufet, z królującą srebrną o złotych obręczach baryłą, długi stół obsiedli towarzysze wybrani królewskich zabaw: przybyli właśnie z Rzymu hrabia Taparel Lagnasco, z Wiednia Wackerbarth, wreszcie domowi: Watzdorf, którego zwanono chłopem z Mansfeldu, Fürstemberg, Imhoff, Friesen, Vitzthum i Hoym, i niezrównany w żartach, niewyczerpanego dowcipu, zawsze surowy i poważny a umiejący rozśmieszyć, choćby się na płacz zbierało, Fryderyk Wilhelm baron Kyan.

Król siedział z rozpiętą na piersiach suknią i kamizelą, podparty na łokciu i smutny. Piękna jego twarz, zwykle jasna, oblekała jakby mgła nadchodzącego smutku. Wypróżniony kielich stał przed nim... Kilka flasz

próżnych świadczyło, że biesiadować nie teraz dopiero poczęto, przecież na twarzy króla nie widać było skutku boskiego napoju... Bursztynowy płyn nie rozrzucił mu ponurych myśli.

Dworzanie baraszkowali między sobą, harcując słowy, aby pana rozbawić: nic to nie pomagało; August siedział zamyślony, jakby nie słuchał. A był to stan rzadki u niego... bo chciał roztargnienia i szukał rozrywki. Z ukosa spoglądali nań niespokojni towarzysze.

W drugim końcu stołu siedział niepozorny, posepny Kyan i, jakby króla prześladować chciał, także się na łokciu sparkł, nogi wyciągnął i, w sufit patrząc, wzdychał.

Był tak smutny, że się wydawał śmiesznym.

— Słuchaj — szepnął Fürstemberg, trącąc łokciem Wackerbartha (obaj już byli dobrze podchmieleni) — widzisz ty najjaśniejszego pana? Złe jest, nie może go dziś nie rozweselić... jedenasta godzina... do tej pory powinienby już być w różowym humorze... Nasza wina...

— Ja-m tu gość — odparł Wackerbarth, ruszając ramionami — to nie moja rzecz: wyście, znając go lepiej, środki skuteczniejsze obmyślić powinni.

— Znudzil się Lubomirską... oczywista rzecz... — dodał z boku Taparel.

— Nie, bo przyznam ci się, że i tych Szwedów strawić trudno — szepnął po cichuteńku Wackerbarth.

— Ja mu się nie dziwię.

— E! e! Szwedów! zapomnieliśmy tymczasem; pobije ich tam za nas kto inny, mamy pewność, my przyjdziem tylko zbierać owoce... — począł, trącąc w kielich, Fürstemberg — nie Szwedy go gryzą... ale już Lubomirskiej ma dosyć... trzeba mu inną znaleźć.

— Czyż o to trudno? — szepnął, ramionami ruszając, Wackerbarth.

— A! no, trzeba wam było znowu w Wiedniu drugą Esterle wyszukać... — rozśmiał się Lagnasco.

I poczęli szeptać tak cicho, że ich już słyszeć nie było, bo król zdawał się przebudzać, jakby ze snu, i wodził oczyma po swych towarzyszach, aż wzrok jego padł na tragicznie rozpartego barona Kyana i król parsknął homerycznym śmiechem.

Niepotrzeba było więcej, ażeby cała sala za nim powtórzyła śmiech echem, choć połowa ze współbiesiadników wcale nie wiedziała, z czego najjaśniejszy pan rozśmiać się raczył.

Jeden Kyan się nie ruszył, nie drgnął.

— Kyan! — krzyknął król — co ci jest? czy cię kochanka zdradziła? czyś goły, czy ci nieprzyjacielił wpili się do boku? Wyglądasz, jak Prometeusz, któremu nie-widzialny sęp szarpie wątrobę!

Kyan odwrócił się, jak drewniana lalka, i westchnął straszliwie. Stojący koło niego kandelabr o sześciu świecach do połowy zgasł od tego westchnienia i dym świec rozszedł się po sali.

— Kyan! co ci jest? — zapytał król.

— Najjaśniejszy Panie — odparł baron — osobiście nie jest mi nic. Nie jestem ani głodny, ani zakochany, ani dłużny, ani zazdrosny, ale rozpacz mnie morduje.

— Cóż się stało? mów! — począł król.

— Nad nieszczęśliwym losem najukochańszego naszego monarchy boleję! — odparł poważnie Kyan — tak jest! Urodzony do szczęścia, z bożem obliczem, z herkulesową siłą, z sercem wspianiem, z męstwem nie-

złomnem, stworzony, aby świat ci u stóp leżąc służył... nie masz nic.

— Tak, to prawda — rzekł August, chmurząc brew.

— Piętnastu nas tu siedzi i rozbawić cię nie umiemy; kochanki cię zdradzają i starzeją się, wino kwaśniej, pieniądze ci kradną, a gdy wieczorem radbyś odetchnąć w wesołym kółku, przynoszą ci wierni poddani twarzę grobowe. Nie powinnaż mnie, co cię kocham, rozpacz porywać?

August się uśmiechnął, ręką drżącą pochwycił puhar i stuknął nim o stół. Z za kredensu wybiegły dwa karły... jak jeden i stanęły przed królem.

— Słuchaj, Tramm — zawołał August — każ po dać gąsior ambrozji! Kyana robię podczaszym. Wino, któreśmy pili, podprawione było wodą.

Ambrozją zwał się węgryz królewski, który Zichy sam dla Augusta z najlepszych winogron nie wyciskanych robić kazał; było to wino nad winą, niby, syrop ciągnące się, zdradziecko słodkie i łagodne, a mogące powalić olbrzyma.

Tramm z towarzyszem znikli, a po chwili ukazał się czarny murzyn we wschodniej odzieży, na srebrnej tacy niosący gąsior ogromny. Wszyscy wstali i witali go pokłonem, król spoglądał.

— Kyan, gospodaruj — zawołał.

Kyan wstał. Karły niosły na drugiej tacy kieliszki, ale te się nie podobały podczaszemu; szepnął im coś i małymi kroczkami za bufet pobiegli, a po chwili zjawili się z nowym szkłem różnego kalibru.

Z powagą urzędnika, który zna ważność zleconych sobie obowiązków, Kyan jał ustawiać kielichy.

W środku stał piękny, smukły, przyzwoitej objętości, królewski: dokoła wieńcem otaczały go nieco mniejsze ministeryalne kielichy, poza nimi drobniejszych rozmiarów, jak na żart, niby naparstki, w znacznej liczbie cisnęły się kieliszeczki... śmieszne. Wszyscy patrzyli ciekawie.

Kyan powoli ujął gąsior ogromny, aby w nim nie poruszyć osadów, i ostrożnie nalewać zaczął. Napełnił naprzd wszystkie drobne. Niewiele one na pozór brały, ale ich był lik tak znaczny, że nim wszystkie ponalewał, gąsior się bardzo opróżnił. Kolej szła na ministeryalne. Wśród powszechnego milczenia, podczaszy sumiennie i te wszystkie nalał pełna. W gąsiorze ubywało, ubywało i gdy przyszło nalać kielich królewski, wina zabrakło. Kilka kropel z mętami wlał Kyan do niego, stanął i spojrzał na Augusta.

— A! dobry z waćpana podczaszy! — rozśmiał się król — dla ciebie ja jestem ostatni. Cóż to ma znaczyć? Śmieli się otaczający.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się, stawiając opróżniony gąsior na stole Kyan, który wcale nie stracił przytomności i humoru — jest to przecie nie nowina, ale rzecz powszednia: com ja tu zrobił z winem, twoi ministrowie robią codzień z dochodami państwa. Najprzd sobie każdy mały urzędniczek swoją kieszeń nalewa, potem starszyzna o sobie pamięta, a gdy przyjdzie królewski puhar, tylko męty pozostały.

Król uderzył w dłonie, patrząc szydersko po przytomnych.

— Kyan! twoje zdrowie! Przypowieść Ezopa godna. Ale niechże dla mnie drugi gąsior podadzą.

Murzyn niósł już na tacy ambrozyę. Śmieli się wszyscy, bo król się śmiał, ale jakoś kwaśno; z ukosa spoglądano na Kyana, który najmniejszy kieliszeczek wziął i zdrowie Herkulesa saskiego okrzyknął.

Padli wszyscy podchmieleni na kolana... hałas powstał ogromny, kielichy podniosły się do góry.

Król swój kielich ku baronowi wypił i postawił.

— Mówmy o czem innem — zawołał.

Fürstemberg wstał.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł — godzina nadchodzi, w której o niczem innem mówić się nie godzi, tylko o tem, co dniowi i nocy króluje... o kobietach.

— Doskonale — poparł król — każdy niech swoją kochankę opisz... Fürstemberg zaczyna.

Szydersko uśmiechając się, wymówił król te słowa; po twarzy Fürstemberga przebiegł grymas dziwny.

— Dane mi pierwszeństwo — odezwał się młody towarzysz króla i ulubieniec — dowodzi tylko, że przed okiem argusowem naszego najmiłościwszego pana nie się ukryć nie zdoła. Zna mnie, kłamać mu nie potrafię i wystawia na upokorzenie. Najjaśniejszy Panie! — dodał, ręce składając, Fürstemberg — proszę o uwolnienie mnie od wizerunku kochanki.

— Nie! nie! — poczęto dokoła. — Portret być może bez podpisu... jeśli osoba ukrytą być musi, ale rozkaz pana święty i nieodwołalny. Maluj, Fürstemberg!

Wszyscy potrosze wiedzieli, dlaczego tak nieochoczo brał się do opisu młodzieniec. Była to chwila krytyczna w jego życiu, udawał bowiem wielką miłość dla przeszło czterdziestoletniej wdowy po jednym z Friesenów, która słynęła z tego, że z pod różu i bielidła twarzy jej wi-

dać nie było. Wdowa była bogata, Fürstemberg właśnie grosza potrzebny, wszyscy wiedzieli, że się z nią nie ożeni, a jednak na balach dworskich, na maskaradach, w przejażdżkach ciągnęła go za swym wozem.

Gdy się Fürstemberg ociągał, naglić tak i tupać poczęto, iż król nakazać musiał mileczenie i, wskazując na Fürstemberga, powtórzył:

— Niema litości, maluj tę malowaną kochankę, której palisz ofiary.

Dla nabrania odwagi, młody roztrzepaniec wychylił swój kielich do dna.

— Kochanka moja jest najpiękniejszą w świecie — zawołał — może mi kto zaprzeczyć, znaż kto, co się ukrywa pod tą maską, którą dla śmiertelników oczu nakłada? Moja kochanka należy do bóstwa... bo jej jednej nie zagraża to, co wszystkim innym... piękność jej dojrzała, jaka jest, pozostanie na zawsze. Ząb czasu skruszy się o marmurowe jej kształty...

Śmiech mu przerwał.

Obok niego siedział Adolf Hoym. Mężczyzna był pięknie zbudowany, ale twarzy niemiłego wyrazu. Małe jego oczki świdrujące, gdy się w człowieka wpatrywał, cechowała przenikliwość jakaś trwożna. Zbladły i wyżółkły, w tej chwili dopiero po ambrozyi nieco rumieńca nabierał. Hoym sławą z donżuanstwa, ale jego miłości od lat kilku były tak tajemnicze i skryte, że już myślano, iż się ustatkował. Chodziły wieści, że się ożenił, ale żona jego nie pokazywała się nigdzie, nie widział jej nikt... siedziała podobno na wsi.

Hoym, który miał słabszą od innych głowę, a był już zmęczony, przez dni kilka dotrzymując królowi w no-

cnych jego biesiadach, widocznie był mocno napily. Poznać to było łatwo po mimowolnych głowy jego ruchach, po wysileniach, z jakimi dźwigał ręce ocieźałe, po uśmiechu ust krzywym, po przymykających się powiekach i całej postawie zdradzającej, że sobą władać przestał.

Była to najmilsza gratka dla króla i jego towarzyszków, ministra od akcyzy schwytać w takim stanie ubłogosławionym, gdy rozum języka powstrzymać nie może.

— Kolej na Hoyma! — rzekł król. — Hoym — dodał — znasz mnie, niema wymówki. Wiemy wszyscy, żeś wielkim znawcą i wielbicielem wdzięków niewieścich, że bez miłości żyć nie możesz; poza te ściany nie wychodziś nic. Spowiadaj się!

Hoym głową na wszystkie strony wykrecał, a ręką z próżnym bawił się kielichem.

— He! he! — zaśmiał się.

Zcicha nalał mu wina Kyan.

Minister machinalnie podniósł kielich do ust i wypił z tą bezrozumną chciwością właściwą już napilym, których szatańskie pali pragnienie.

Lice mu zaszło purpurą.

— He! he! — począł belkować — chcecie wiedzieć, jak wygląda moja kochanka... ale ja, mili panowie, nie mam i nie potrzebuję mieć kochanki, bo mam za żonę boginię!

Rozśmiali się wszyscy chórem, król tylko ciekawie, poważnie wpatrując się w niego, słuchał.

— Śmieście się — mówił Hoym — kto jej nie widział, ten nie widział Wenery, a myślę, że i Wenus obok niej wydalaby się praczka z przedmieścia. Mogę ją opi-

sać? W jednym jej oku czarnem jest tyle potęgi i wdzięku, iż żaden śmiertelny oprzeć mu się nie potrafi. Po-
stać jej Praksytelesa dłutoby zawstydziła... na jej uśmiech niema wyrazu, ale to bóstwo surowe i straszne i ten uśmiech nie rozkwita codziennie.

Kiwali głowami przytomni niedowierzająco, Hoym chciał przerwać, król uderzył o stół.

— Opisz-że ją lepiej: to są westchnienia, nie obrazy.

— Któż opisz doskonałość — dodał Hoym z podniesionymi w sufit oczyma. — Wszystkie piękności ma, a żadnej wady.

— Gotówem uwierzyć, że piękna — zawołał Lagna-sco — jeśli niestały Hoym od trzech lat się w niej kocha i po cudzych kniejach nie poluje.

— Przesadza! pijany jest! — przerwał Fürstemberg. — Jakto? piękniejsza od księżnej Teschen?

Hoym ruszył ramionami, trwożliwym okiem mierząc króla; ale król rzekł spokojnie:

— Tu niema innych względów nad prawdę... piękniejsza od Lubomirskiej?

— Najjaśniejszy Panie! — krzyknął unosząc się Hoym — księżna jest kobietą piękną, a moja żona jest boginią. Na całym dworze, w całym mieście, w całej Saksonii, w Europie drugiej takiej niema.

Śmiechem ogromnym, olbrzymim, szalonym zabrzmiała sala.

— Jaki zabawny Hoym pijany!

— Jaka pocieszna akcyza pijana!

— Co za nieoszacowany człowiek!...

Król się nie śmiał. Hoym widocznie był pod wpły-

wem ambrozji, zapomniał się, gdzie był i przed kim to mówił.

— Śmiećcie się — zawołał — znacie mnie przecie wszyscy; sami mnie Don-Żuanem nazywacie: oddajecie mi tę sprawiedliwość, że na piękności niewieściej nikt się lepiej nie zna nade mnie. Dlaczegożbym miał kłamać?... To bóstwo nie kobieta; dość jednego jej oka, aby w najzimniejszym łonie pożar zapaliło; jej uśmiech...

To mówiąc, spojrział mimowoli na króla. Wyraz twarzy Augusta, chciwie słuchającego wykrzykników i śledzącego każde jego słowo, przeraził go tak, że niemal się z trwogi wytrzeźwił. Radby był się cofnąć... lecz nie mógł sobie zadać kłamu i, jak steżały, zamilkł, pobladłszy.

Próżno śmiechami i wywoływaniem starano się go zmusić, by szedł dalej. Hoym ze strachu oprzytomniał, ręka jego machinalnie obejmowała kielich, ale oczy trzymał wlepione w ziemię i zamyślił się dziwnie.

Na znak króla Kyan nalał mu ambrozji, stuknięto w kielichy.

— Piliśmy boskiego naszego Herkulesa zdrowie! — zawołał Fürstemberg — teraz zdrowie Najjaśniejszego Apolina naszego...

Niektórzy pili na klęczkach, inni stojąc; Hoym wstał, chwiejąc się, i musiał oprzeć się o stół. Skutek wina, który na chwilę trwoga zawiesiła, powracał. W głowie mu się kręciło: wypił duszkiem.

Poza krzesłem królewskim stał Fürstemberg, którego król Fürstchen przez pieszczotę nazywał i w swych miłych wycieczkach zwykle za towarzysza miewał. Apollo odwrócił się ku niemu:

— Fürstchen — rzekł cicho — akcyza nie kłamie, od lat kilku zamyka i tai się ze swym skarbem: trzeba go zmusić, aby nam ją pokazał... Użyj takich środków, jakich chcesz, niech kosztuje najdrożej, ale ją trzeba widzieć.

Fürstchen uśmiechnął się: szło to bardzo i jemu i innym na rękę. Panująca dotąd królewska kochanka en titre, księżna Teschen*), miała przeciwko sobie wszystkich przyjaciół obalonego przez nią wielkiego kanclerza Beichlinga, po którego upadku pałac na Pirnaiskiej ulicy odziedziczyła, a Fürstemberg, choć w swoim czasie służył Lubomirskiej przeciwko innym paniom, dobijającym się serca króla, gotów był Augustowi służyć przeciw wszystkim w świecie. Piękność Lubomirskiej niezbyt świetna, nieco przekwitająca, jej pańskie obejście się i ton, zaczynały nudzić króla, który wołał rezolutniejsze, śmielsze, żywsze charaktery w kochankach... Fürstemberg odgadł to wszystko z wejrzenia i mowy króla. W jednej chwili odskoczył od jego krzesła i znalazł się poufale sparty o poręcz Hoyma, nachylony do jego ucha.

— Kochana akcyzo — zawołał głośno — wstyd mi za ciebie, kłamałeś bezwstydnie i to wobec króla jego mości; żartowałeś sobie z nas i z niego. Przypuszczam chętnie, że żona takiego lotra jak ty i kobieciarza, nie może być kockodanem, ale do Wenery i bogini, a nawet do księżnej Teschen ją porównać, to były żarty!

— Com mówił — rzekł z gniewem — to była prawda! Tausend Donnerwetter! Potz und Blitz!

*) Cieszyńska.

Śmiano się z rubasznego wykrzyku, ale przy biesiadzie poufałej król wszystko przebaczał; po pijanemu prości śmiertelnicy chwyтали go za szyję i całowali, nie lekając się, by ich Goliat zdusił w objęciach.

— Stawię tysiąc dukatów w zakład, o! — krzyknął Fürstemberg — że żona twoja od innych dam dworu piękniejsza być nie może...

Hoymowi dolewano wina... akcyza piła z rozpacz...

— Trzymam zakład! — zgrzytnął zębami błądy i pijany — trzymam...

— Sędzią... ja będę sędzią! A sądu zwlekać się nie godzi — wyciągając rękę, dodał August. — Hoym natychmiast sprowadzi tu żonę i na pierwszym balu u królowej ją przedstawi...

— Hoym! pisz! Kuryer królewski powiezie list do Laubegastu...

— Pisz list... natychmiast! — zaczęto znowu wołać ze wszystkich stron.

W jednej chwili podsunęto mu papier, Fürstemberg gwałtem wcisnął pióro, król wzrokiem naglił do wykonania. Nieszczęśliwy Hoym, w którym chwilami odzywała się trwoga mężowska i pamięć zalotności królewskiej, sam nie wiedział, jak dyktowany mu rozkaz przybycia do Drezna żonie napisał, i w mgnieniu oka wyrwano mu go z rąk... ktoś po schodach zbiegł w dziedzińce, aby królewski posłaniec natychmiast z nim do Laubegastu wyruszył.

— Fürstemberg — szepnął August — ja widzę po Hoymie, że jeśli się wytrzeźwi dziś, rozkaz odwoła: trzeba go spoić na śmierć, by nogą ani ręką nie ruszył...

— Jest już tak pijany, że się o życie jego lękam — dodał książę.

— A ja nie — spokojnie rzekł król — czyżby już Hoyma nikt w świecie zastąpić nie był w stanie? A takityśmy mu pyszny z mnóstwem palm i wieńców pogrzeb sprawili...

Uśmiezek króla tak podziałał, iż koło Hoyma kółko się skupiło z kielichami; wyzywano go, wymyślano toasty, dolewano ambrozyę różnymi z flaszek podstawionych kryjomo dobywanymi płynami, i w pół godziny... Hoym, błądy jak trup, z głową zwieszoną, z usty okropnie otwartymi, spał, leżąc na stole... Hajducy królewscy na dany znak ponieśli go do łóżka. Dla ostrożności wszakże raczej, niż z troskliwości o zdrowie, zamiast w lektyce odnieść go do domu na Pirnajską ulicę, położono go w jednym z gabinetów królewskich i dodano na wartę Cojanusa olbrzyma, który miał rozkaz nie puszczać go do domu, gdyby się obudził. Hoym jednak, wcale się nie przebudziwszy i stękając tylko przez sen ciężko, bezprzytomny przeleżał do rana. Na sali, po wyniesieniu tego trupa, rozpoczęła się dopiero bachanalia przy zamkniętych drzwiach, w ciśniejszym kółku, której świadkami były tylko zwierciadła sali.

Król był w najpiękniejszym humorze, a promienistość tego oblicza odbijała się na twarzach dworzan jego. Już się miało dobrze na brzask, gdy dwaj hajducy nareszcie ostatniego ze wszystkich i Augusta Mocnego jak dziecko do łóżka zanieśli.

Zarzuciecie mi przesadę w obrazie! Niestety! wszystkie jego rysy, aż do najdrobniejszego, są prawdziwe...

Fürstemberg został sam na ruinach, prawie zupełnie trzeźwy; zdjął perukę tylko, aby ochłodzić głowę, i zamysłili się głęboko, mówiąc do siebie:

— Będziemy tedy mieli nowe panowanie... Lubomirska nadto się też wdawała w politykę... mogła opanować króla... Na co mu rozumna kochanka? niech go tylko bawi i kocha! to jej powołanie...

Zobaczmy Hoymową...

II.

Laubegast leży nad samym Elby brzegiem, o dobrych parę godzin od Drezna. Mała wioseczka już naówczas miała kilka domków, widocznie przez możniejszych postawionych i panujących okolicy. Kryły się one w starych lipach i bukach, w czarnych sosnach i jodłach gałęziach.

Pałac Hoyma, do którego on się czasami z domu swojego wykradał, aby tu spędzać wieczory i część dnia, a czasem nawet całe pod nieobecność króla tygodnie, wyglądał, jak wszystkie owego czasu, z wysokim dachem i poddaszami na sposób francuski, z wyginanymi ozdobami i floresami po murach. Sprowadzeni ze stolicy mularze okrasili go jak najstaranniej i o ile znieść mogły skromne pałacyku rozmiary. Znać było wielką troskliwość pana o upiększenie miejsca tego. Mały dziedzińczyk opasywała kratą żelazną w słupach murowanych, na których stały piękne wazony kamienne, na wznioślejszych nieco, przy bramie, grupy aniołków trzymały latarnie. Wchód do domu z galeryą kamienną, przybraną w wazony i fi-

gurki, okrywały piękne kwiaty. Dom wyglądał pańsko z za drzew, ale smutnie, jak klasztor, jak pustkowie.

Nie było tu życia, ani licznych służ, ani ruchawego dworu. Dwóch starych kamerdynerów, kilkoro czeladzi pokazywało się czasem około pałacyku, a nad wieczorem niekiedy z książką w ręku wychodziła z niego postać, której cała ludność Laubegastu z za płotów i krzaków z trwogą i podziwem się przypatrywała. Było to w istocie dziwne w tym zapadłym kącie zjawisko, któremu właściwszym pobytom zdawała się sama stolica.

Nikt nie widział tu nic podobnego, ani mógł marzyć o takiej piękności. Młodziuchna kobieta, wysokiej i szlachetnej postawy, biała jak marmur, z czarnymi, jasnymi, bystremi oczyma, gdy szła ulicą w majestacie swej młodości, piękności i dumy, mimowolnie trwoga ogarniała patrzących na nią nawet ukradkiem, takiego coś w sobie miała królewskiego i rozkazującego. Chciało się na twarz padać przed nią.

A była smutną przy tej powadze, jak żalobny posąg, zdjęty z grobowca. Nigdy się nie uśmiechnęło jej oko ni usta, nigdy nie spojrzała weselej w niebo... Spoglądała na ziemię czarną, na szare Elby wody, na kwiatki, których ani zrywała, ani się poila ich wonią. Zdawała się nieszczęśliwą, może była tylko znudzona. Wiedzano, że od lat kilku siedziała tu tak zamknięta, nie widując prawie nikogo, oprócz siostry Hoyma, Vitzthumowej, której brat też rzadko przystępu do żony dozwalał. Wiedział zapewne, że i ona chwilowo miała szczęście być w łaskach u króla, a nadzieję pozostania w nich dłużej, która się nie ziściła. Strzegąc żony od wpływu dworu i intryg jego, własną nawet siostrę od niej

usuwał. Vitzthumowa ruszała ramionami pogardliwie i wszystko było jej jedno.

Ale bratowa śmiertelnie się nudziła. Całą jej zabawą były książki pobożne marzycieli protestanckich, które czytała skwapliwie, i ustronne przechadzki pod nadzorem starego kamerdynera.

Życie to było jednostajne i ciche jak grób, ale za to namiętności w niem nie wywoływały burzy. Hoym zrazu bardzo czuły, z natury bałamut i bałamuctwem dworu podżegany, znużył się żoną i zapomniał już o niej. Kochał ją jednak po swojemu, zazdrośnie, i chciał ten skarb mieć zatajony przed oczyma ludzkiemi. Tylko, gdy króla i dworu nie było w Dreźnie, pani Hoymowa miała pozwolenie na krótko przybyć się rozerwać w stolicy, która naówczas śmiertelnie nudną była.

To kilkoletnie zamknięcie napoiło ją dumą, złością, goryczą, smutnemi myślami, pogardą dla świata i ascetyzmem dziwaczny. Wystawiała sobie życie swe jako skończone, zamknięte... jako wyczekiwanie równie samotnego zgonu, a była jak anioł piękna i nie miała jeszcze skończonych lat dwudziestu czterech, i ci, co ją zdala widzieli, nie daliby jej z twarzy, dziecinnej niemal, ani ośmnastu, tak dziwnie wyglądała młodo.

Panią Vitzthumową, która w gorętszem życiu postradała świeżość i część młodego wdzięku, ta nieśmiertelna dziewiczość bratowej gniewała. Gniewały ją inne jeszcze w niej przymioty: szlachetna duma cnoty, oburzenie na zepsucie, pogarda intrygi i kłamstwa, królewski majestat, z jakim z góry swej potęgi spoglądała na ruchliwą, śmiejącą się, pełną fałszu bratową. Gdyby nie była bratową, możeby jej nawet życzyła upadku i upokorzenia.

Hoymowa nie lubiła jej wzajemnie, wstręt do niej czując instynktowy. Dla męża okazywała teraz niemal chłodną pogardę... przez samą panią Vitzthumową, po cichu szepejącą nieraz tajemneskandaliki, wiedziała Anna Hoymowa, że mąż nie był jej wiernym. Mogła go łatwo jednym czulszem wejrzeniem u stóp swych położyć, znała swą potęgę, była jej pewną: nie chciała. Wydał się jej już zbyt nikczemną istotą, aby się o niego starać było warto. Przyjmowała go zimno, odprawiała obojętnie; Hoym się burzył, ale z żoną, gdy przyszło do otwartej kłótni, czuł się tak słabym, że zwycięstwa szukał w ucieczce.

Tak płynęły smutne a długie dni w Laubegaście. Nieraz Annie przychodziły myśli słomianą wdową powrócić nazad do Holsztynu, do Brockdorfu, do rodziny. Lecz rodzina nie była jej bardzo przychylną, ojca i matki nie miała oddawna, a księżna Brunświcka, z domu Holstein Plön, czyby ją była znowu przyjęła? Głośnie tam było i pamiętne znalezienie się szesnastoletniej jeszcze Anny, którą książe Ludwik Rudolf w zapale uwielbienia dla jej piękności cudnej chciał pocałować i — dostał publicznie prawie policzek...

Nie miała się więc gdzie podziąć biedna a piękna Anna.

Pomimo zepsucia dworu i sąsiedztwa Drezna, w którym trudno było ukryć przed oczyma ludzi taką gwiazdę pierwszej piękności, kilka lat przechadzając się ponad brzegami Elby, nad którymi nieustannie krzyżowały się dworskie powozy, kawalerowie konni, wojskowi i cała próżniacza czereda, otaczająca panującego, Anna tak się umiała przysłonić w tem swem ustroniu, że jej żadne niemal nie spostrzegło oko.

Oprócz jednego...

Tym jednym był młody Polak, który raczej wisiał, niż trzymał się na dworze Augusta, a dostał się nań prawie mimowoli i mimowoli tu dość nudne wiódł życie.

Gdy August Mocny po raz pierwszy jechał do Polski i przy biesiadzie w oczach zdumionych panów, co na jego wyruszyli spotkanie, srebrne gniótl w rękę puhary, łamał talary i kruszył podkowry; przy obiedzie w Piekarach po odbytej ceremonii przed cudownym obrazem, na widok tych popisów siły pańskiej, źle jakoś wróżyć się zdającej przyszłości Rzeczypospolitej, ozwał się z niechcenia pono ksiądz biskup kujawski, iż jednego młodego chłopaka znał, który niemal tak samo mógł dokazywać. Piknęło to króla jegomości, zarumienił się, acz tego po sobie nie dał znać, zwłaszcza że to były dopiero początki jego w Polsce — rzekł tylko, iż ciekawy był widzieć współzawodnika w sile, bo go jako żywo nigdy w życiu nie spotkał. Obiecał ksiądz kujawski ubogiego onego szlachetkę, pochodzącego bodaj z wielkiej a niegdyś bardzo zamożnej rodziny Zaklików, królowi, gdy przybędą do Krakowa, po koronacyi przedstawić. Ale rzecz, przy tylu innych ważniejszych, poszła w zapomnienie i biskup-by jej nie wznawiał, postrzegłszy się, iż niezręcznie z tą paralelą wystąpił, gdyby sam król nie naparł się i nie przypomniał, a nie wymagał natarczywie, aby mu owego pana Rajmunda Zaklikę koniecznie na oczy pokazano.

Chłopak tylko co był szkoły jako tako u Jezuitów dokończył, wałęsał się, sam nie wiedząc, co począć z sobą. Do wojska-by był rad szedł, ale pocztu sobie za co kupić nie miał, a inaczej staremu szlachcicowi nie wypa-

dało. Po długich więc poszukiwaniach w mieście, udało się Zaklikę odkopać gdzieś po niewoli pasującego się z piórem przy kancelaryi. Gdy przyszło go stawić przed królem jegomością, nie było ani przyodziewku dostatecznego, ani szabelki, ani pasika. Biskup go marszałkowi dworu rad nie rad musiał kazać oporządzić od stóp do głowy i dopiero sam obejrzawszy, że mu wstydu nie zrobi, trzymał w pogotowiu. Król najczęściej z tą siłą przy ucztowaniu występował, gdy był dobrej myśli. Znowu tedy dnia jednego dzbany miętosił i podkowoy sobie przynosić kazał, które dworscy zawsze na ten eksperyment w pogotowiu trzymali. Siedział biskup cicho, aż król do niego znowu: „A gdzież wasz siłacz, mój ojcz?” Począł nalegać: sprowadzono Zaklikę.

Chłopak był wyrosły, jak dębeczak, smukły, rumiany, hoży, skromny, jak dziewczyna, i nie wydawał się wcale takim Herkulesem. August, spojrzawszy nań, począł się uśmiechać. Że był szlachcie, przypuszczono go do ucałowania ręki pańskiej. Rozmówić się z nim inaczej, jak po łacinie, było trudno, bo po niemiecku ani po francusku słowa jeszcze wówczas nie rozumiał. Szczęściem, tu słów nie było potrzeba. Stały dwa puhary srebrne jednakowiusienkie przed królem; wziął August jeden w szeroką dłoń, palcami objął, pocisnął i, jak liść, zgiał i zdusił. Było na dnie wino: trysnęło wierzchem.

Szydersko się uśmiechając, podsunął sam drugi Zaklice i rzekł:

— Próbuaj, jeśli puhar zgnieciesz, twój będzie.

Nieśmiało zbliżył się chłopak do pańskiego stołu, garść nastawił i objął blachę twardą; chwilę się niby

ważyło, co będzie, krew mu uderzyła do głowy... i puhar poszedł w kawałki. Na twarzy królewskiej odmalowało się niezmierne zdumienie, ale żywsze jeszcze nieukontentowanie, które i we wzroku na biskupa rzuconym znać było. Panowie przytomni jeli dowodzić, że puhar z cieńszej był blachy, albo nadkruszony...

Wziął król podkowoy łamać, jak obwarzanki, kazano Zaklice i kruszył je leciuchno, nie wysilając się. Dobył August talara bitego, zmocował we dwóch rękach i złamał tuż. Dano Zaklice bodaj grubszego hiszpańskiego; trochę się chłopak namyślał, ale już się też i rozpałił, a to mu sił dodało: przepołowił i talara.

Chmura popłynęła królowi po czole i markotny się stał dwór pański, że do takich nieprzyzwoitych zapasów przyszło. Kazał król Zaklikę nagrodzić, oba puhary mu darował, a potem, namyśliwszy się, powiedział, żeby go do dworu wzięto. Dano mu jakiś urzędnik przy dworze, ale nazajutrz na ucho szepnął ochmistrz, aby się nigdy nie ważył z siłą popisywać ni chwalić, aby z nim nie było źle, bo to rzecz zakazana.

Uwisł tak przy dworze ów niebożatko Zaklika; dano mu kilkaset talarów pensyi, barwę co się zowie wspańiałą, żadnej roboty, wiele swobody, ale za królem, gdzie się on ruszył, jeździć musiał. A że to było, jak mówi przysłowie, pokorne ciele, dobrze mu było. Król wprawdzie słowa doń nie przemówił, ale o nim pamiętał, pytał i nakazywał, by mu na niczem nie zbywało. Swobody miał chłopiec dosyć, a że wśród tego szwargotu niemieckiego wciąż musiał siedzieć lub francuzczyzny słuchać, jał się obu języków uczyć bystro i we dwa

lata już nimi dobrze w gębie obracał. Ano z tego próżnowania i że żyć z szoldrami lubił, bo tak ich zwał, *salva reverentia* dla króla jegomości, gdy pora była po temu, około Drezna pieszo schodził wioski i laski. Natura była ciekawa, drapał się i po górach na drugim brzegu Elby tak urwistych, że z nich spojrzawszy... *abyssus vocat*. Nigdy jednak szwanku nie poniósł.

W jednej to z tych przechadzek trafił Rajmuś Zaklika do Laubegastu i, znalazłszy pod bezpańską lipą chlodek, rozłożył się tam obozem na swoje nieszczęście... Właśnie o tej godzinie wyszła Anna hrabina Hoymowa na swą samotną przechadzkę. Gdy ją chłopak ujrzał, od razu zamarł z admiracyi; tchu mu w piersi zabrakło. Oczy tarł, myśląc, że mu się śni i że taka istota chyba istnieć nie może. Siedział w miejscu biedaczysko do nocy, patrząc, a patrząc... i napatrzeć się nie mogąc. Zdawało mu się, że się oczyma napasie do syta, a im dłużej patrzył, tem więcej widzieć pragnął. Zrodziła się w duszy tęsknota... czy szal, dosyć, że do Laubegastu jak opętany latać zaczął, w głowie mu się wszystko przewróciło.

A że się nikomu nie zwierzał, nie było mu też komu poradzić, iż na taką chorobę jedno jest tylko-lekarstwo: w ogień samemu nie iść, ale z ognia uciekać.

Tak się chłopczysko rozmiłowało, że wychudło i zgłupiało. Kobiety, służące u dworu u pani Hoymowej, które wyspiegowały go, a domysliły się pewno, co mu jest, jęły w śmiechy z niego, powiedziały o tem i pani. Śmiała się i ona i zobaczyła go niewidziana, a może się jej go i żal zrobiło, ale kazała do siebie przywołać i surowo

go zgromiła, że się niepotrzebnie włóczył, a zakazała, aby więcej nogą około dworu nie postać.

Że przy tej rozmowie nikogo nie było, a chłopca głupota jego snadź ośmielała, odpowiedział na to, że przecież patrząc nie grzeszy i że oprócz widzenia pani nic nie żąda, a dodał, iż choćby go tam i ukamienować miało, musi przyjść, gdyż mu srodze tęskno.

Nagniewała się, tupiąc nóżką, pani Hoymowa, grożąc, iż go przed mężem oskarży, a nie go to nie nastraszało. Potem się kilka tygodni z tej strony, z której ją widzieć mógł, nie pokazywała. Chodziła od Elby, póki raz nie spostrzegła, że Zaklika, po szyję w wodę się schowawszy, mimo zimnej rzeki, stał tak ukryty, aby tylko ją zobaczył. Rozgniewała się tedy strasznie i poczęła wołać na ludzi, aż Rajmuś nurka dał i zniknął. O mało naówczas nie utonął, bo go kurcze porwały i odzież mu namokła ciężyla, ale się wyratował. I jakoś go nie było widać, ano nieprawda, bo sobie inną obrawszy kryjówkę, oczy trucizną tej piękności pasł i pasł. Już czy jejmość o tem wiedziała, czy nie, nie było słyhu, a nie mówiono więcej o Zaklice. Że zaś we dworze mało się o niego troszczono i król byłby może nawet rad, żeby gdzie karku nadkreślił, nikt o chłopcu nie słyszał. Robił i chodził, jak chciał.

Raz tylko zawezwano go do dworu, bo król dużemu koniowi z wielkiego gniewu, w jaki wpadł, głowę jednem cięciem odrąbał. Chciał tedy okazać August Mocny, iż tego ów nawet sławny Zaklika nie dokaże. Przyprawiono szkapę starą z pod dragona, twardokościstą. Dawano po cichu do zrozumienia Zaklice zawczasu, aby, jeśli mu łaska pańska miła, koniowi dał pokój, lub nie

tak bardzo się zamachiwał. Temu było już wszystko jedno, a gdy raz na siłę szło i pot poczuł — jak to mówiono — nikt go nie pohamował. Wobec tedy króla, panów i wielkiej cizby osób, popróbowawszy tylko żelaza i dobrawszy klingi, koniowi łeb zwałił, jak brzytwą... Mówił, że go potem tydzień ręka bolała w ramieniu, ale nie. Król, słowa nie rzekłszy, ramionami ruszył tylko i zapito konfuzję. Na Zaklikę nikt i nie spojrział już, a dworcy szludzy, których miał przyjaźniejszych, szeptali mu, że mógłby się wynosić gdzie cichaczem, bo go przy lada małym czym spotka ciupa na Koenigsteinie.

Rajmuś ramionami ruszył a wcale się tego nie zląkł... Królewskiego tyle było zwycięstwa, że koniecznie chciał go jeszcze próbować, wiele wina strzyma; ten zaś czystą wodę tylko pijał, czasem szklanekę piwa, wina kieliszeczek, dalej nie mogąc. Więc próżne było przykazywanie królewskie: pij a pij. Gwałtem prawie wlali mu puhar węgrzyna, od którego jak padł, tydzień odchorował, i o mało go z tego świata nie wzięła gorączka. Ano potem do siebie przyszedł i bodaj do ogromniejszej jeszcze siły, na którą się z nim nikt próbować już nie śmiał.

I znowu chodził na wyglądanie owo dziecinne pod ogród w Laubegaście. A miłość ta uczyniła go innym człowiekiem: spoważniał bardzo, uczyć się począł i powierchownie nawet odmienił... Anna, hrabina Hoymowa, która o wszystkim mówiła mężowi i jego siostrze, o nim nigdy nie wspominała, zdając się go już nie widzieć, ani wiedzieć o nim...

W Laubegaście kończył się dzień zawczasu, z mrokiem zamykano bramy i drzwi na klucze i dragi, jak

było we zwyczaju naówczas; psy spuszczano na podwórza z łańcuchów, szludzy szli z kurami spać, a pani choćby dłużej przy świetle czas nudny spędziła nad książką, nikt o tem nie wiedział...

Tej nocy właśnie, gdy rozpustowano na zamku, a w odkrytych polach jesienny wiatr bujał, w Laubegaście tak go słyhać było, łamiącego drzew gałęzie i miotającego lipami, iż o śnie ani było myśleć.

Piękna Anna, rozebrawszy się, czytała w biblii, bo to jej było czytanie najulubieńsze, zwłaszcza Apokalipsa i listy świętego Pawła... Toż myślała a rozmyślała nad niemi, często płacząc nawet.

Było już późno w noc i druga świeca jarząca dopalała się w jej pokoju, gdy tętent dał się słyszeć za domem, a potem jakby kto bramą żelazną targał, i psy ujadać zaczęły tak straszliwie, iż nieuleknionego ducha pani poczuła się strwożoną. Rzadkie były już wówczas napaści na dwory, zwłaszcza pod stolicą, ale się przecie trafiały. Rozpuszczone żoldactwo, połapani gwałtem żołnierze, którzy później zbiegali i po górach się kryli, tulając, dopuszczali się czasem gwałtów, choć je szyja później płacić im przyszło, gdy na nich oblawy zwołano.

Poczęła więc dzwonić Anna i cały dwór się pobudził, ale mimo to, brama nie przestała dzwienceć ani psy ujadać... Poszli tedy ludzie z bronią, w dziedziniec i dopiero zobaczyli, że tam się ze dworu królewskiego posłaniec miotał a krzyczał i tuż za nim sześciokonnny powóz stał z lokajami i służką. Psy wzięto na łańcuchy, wrota otwarto, posłaniec list oddał.

Gdy go jej przyniesiono wśród nocy, sądziła zrazu,

iż coś złego stać się musiało: pobladła nieco... poznawszy jednak rękę męża, choć zmienioną, na liście, uspokoiła się. Przyszedł jej tylko na myśl los kanclerza Beichlinga, który nagle ze szczytu łaski poszedł jednej nocy do Koenigsteinu i zabrano mu wszystko, co miał. Sam Hoym nieraz po cichu spowiadał się jej z tego, iż królowi nie wierzy i nie będzie się nigdy czuł bezpiecznym, dopóki majątku i głowy za granicę nie wyniesie.

Dowiedziona to było rzeczą, iż król, gdy najczulszym się okazywał, najwięcej się go obawiać było potrzeba, usnąć bowiem pragnął, nim ofiarę swą stracił ze szczytu, i lubował się, patrząc na tragiczną fortuny zmianę. Myślała więc Anna, azali los kanclerza nie spotkał jej męża, którego kraj cały nienawidził za wprowadzenie akcyzy, i nieprzyjaciele nań szczuli ze wszech stron.

Zdziwiła się niezmiernie, postrzegłszy na bilecie męża, ręką acz widocznie zmienioną i pośpieszną kreślonym, rozkaz, aby natychmiast przybyła posłanym po nią powozem. Ani się było podobna opierać dla oczu ludzkich... a i ciekawość też wiodła... Kazała więc sługom czynić natychmiast przygotowania do podróży... i nie upłynęła godzina, gdy już w powozie siedziała i wrota cichego dworu w Laubegaście na zawsze się za nią zamknęły.

Myśli dziwne w drodze ją opanowały... Czowała się przejętą jakimś strachem i smutną tak, że się jej na lży zbierało. Nie wiedziała, co jej groziło i czy jej co zagrażało, trwożyła się wszakże. O powrocie króla i dworu, po kilkoletniej niebytności, wiedzano wszędzie. Z nimi razem powracały do Drezna intrygi, podstępny, wyścigi o łaski i znaczenie, w których się różnymi środkami po-

ślugiwano. Działy się tam rzeczy na pozór lekkie i wesołe, a w istocie tragiczne...

W chwili, gdy ofiary z jękiem padały w lochy i ciemne przepaści, balowa muzyka przygrywała weselu tych, co zwyciężyli. Nieraz zdala patrzyła Anna na siną górę Koenigsteinu, pełną tajemnic i ofiar...

Noc była ciemna bardzo, lecz powóz poprzedały pochodem dworskie i konie pędziły. Ani opatrzone się, jak stanęła karetka na bruku u domu przy Pirnaiskiej ulicy. To też choć ministra oczekiwano, ludzie się pospali i nierychło się ich było można dobudzić. W domu tym, w którym Hoym zajmował pierwsze piętro, pokojów nawet swoich Anna nie miała. Były tylko dla przyjęcia klientów przeznaczone i sypialnia pańska, która wstąpiła wzbudzała w Annie... Zresztą kancelarye i całe izby papierów. Gabinet ministra przytykał do ogromnej sali, ozdobnej wprawdzie, ale ciemnej, ponurej i smutnej. Nie zastawszy męża w domu, tem więcej się zdziwiła hrabina Anna; ale słudzy ją upewnili, iż to była noc królewska, i że przy tej zabawie zwykle przeciągał się pobyt na zamku do dnia białego i dłużej, niekiedy dni i nocy parę. Zmuszona szukać przytułku i odpoczynku, hrabina musiała dziś po raz pierwszy w tym domu męża, w którym nigdy prawie nie bywała, znaleźć sobie jakiś kątek. Obróła gabinet z drugiej strony kancelaryi ministra położony, oddzielony od innych pokojów i tu sobie prawdziwe łóżeczko obozowe usłać kazawszy, zaryglowawszy się ze sługą, próbowała usnąć nieco. Ale sen nie spłynął na powieki znużone, drzemała tylko chorobliwie, budząc się i zrywając za najmniejszym szelestem.

Dzień już był biały, gdy, usnąwszy głęboko na chwilę, przebudziła się, słysząc w gabinecie otwierające się drzwi i stapanie. Sądziła zrazu, iż to był chód męża i w cichości co najprędzej poczęła się z pomocą służki ubierać.

Ubiór to był poranny, zaniedbany, który jej wdzięku dodawał. Znużenie podróży, niepokój, gorączka, podniosły królewski wdzięk i blask urody zachwycającej. Z niecierpliwością odryglowała drzwi, które ją dzieliły od gabinetu, otworzyła je i stanęła w progu.

Naprzeciw niej, zamiast męża, stał człowiek zupełnie jej nieznajomy, którego postawa i twarz wielkie na niej uczyniły wrażenie.

Był to mężczyzna w czarnej, długiej sukni protestanckiego duchownego, niemłody, z głową wypełzłą i błyszczącą, około której nieco siwych włosów rozwianych jakby aureolę wiązało. Żółkła skóra przylegała do kości jego czoła, tak, iż żyły rysowały się wszędzie wypukło. Siwe oczy głęboko wpadłe, usta uśmiechnięte goryczą, spokojna pogarda świata, pogoda i powaga przytem, nadawały tej twarzy ani pięknej zresztą, ani znaczącej, coś tak wybitnego i zajmującego oczy zdumione, iż mimowol oderwać ich od niej nie było można.

Patrzała na niego Anna, ale i on, jakby zjawiskiem tej kobiety przerażony, stał nieruchomy z wlepionemi w nią oczyma, w których mimowolnie malowało się uwielbienie dla cudownego boskiego tworu, podobnego aniołom.

Stał i usta mu drżały i ręce się podniosły zdumieniem napół, napół jakimś ruchem niezrozumiałym, który i odpychać mógł i błogosławić...

Dwie te istoty, zupełnie sobie nieznane, badały się tak chwilę oczyma... Duchowny cofał się zwolna... Anna oglądała się, szukając oczyma męża... Już miała z powrotem wstąpić za próg gabinetu, gdy duchowny, spojrzawszy na nią wzrokiem litości pełnym, zapytał:

— Kto ty jesteś?

III.

— Jabym to prędzej was mogła spytać, kto wy jesteście i co tu w domu moim robicie?

— W domu waszym? — powtórzył zdumiony duchowny — jakto? więc żoną jesteście pana ministra?

Anna głową dumnie dała znak potwierdzający. Duchowny spojrzał na nią wzrokiem pełnym najwyrazistszej litości, patrzył długo i dwie łzy zakręciły mu się pod zmarszczonemi powiekami; złożył ręce jakby z rozpaczy i zwątpienia.

Anna poglądała nań z ciekawością. Niepozorna ta postać, zszarzana, zmęczona, życiem złamana, zdawała się ożywiać, wyszlachetniać, uczuciem jakimś wielkiem wyrastać, stała się poważną i majestatyczną. Dumna pani czuła się przy niej onieśmiałą, małą, zdzieciniałą, niemal pokorną. Milczący starzec promieniał jakimś natchnieniem wewnętrznem. Nagle oprzytomniał, obejrzał się strwożony i krok postąpił naprzód.

— Dlaczegoż ty, którą Wszechmogący stworzył dla chwały swej, jako pięknej cnoty naczynie, ty, pełna bla-

sku istoty, podobna aniołom, nie otrząsniesz pyłu z nóg twych skalanych dotknięciem nieczystego Babilonu i nie uciekniesz, rozdarty szaty białe, z tego ogniska zepsucia i rozpusty? — zawołał jakby nagle rozgniewany miłośnikiem. — Dlaczego ty tu w tym ogniu trwasz? kto cię weń wrzucił? kto był tym niegodziwym, co tak piękne dziecko boże cisnął w ten świat plugawy?! Czemu nie uciekasz? dlaczego stoisz niestrwożona a może niewiedząca o niebezpieczeństwie? dawno tu jesteś?

Anna zrazu osłupiała, słuchając, lecz głos starego tak na niej czynił wrażenie, iż uczuła się może pierwszy raz w życiu podbitą i onieśmioną. Oburzał ją ten ton duchownego, a nie mogła się zań pogniewać. Nim otworzyła usta, on mówił dalej:

— A wiesz-że ty, gdzie jesteś? a wiesz, że ta ziemia, na której stoisz, chwieje się pod stopami twymi? że te ściany się otwierają na rozkazy, ludzie nikną, gdy są zawadą, że tu życie człowieka nie waży nic... dla kropli rozkoszy?

— Cóż za przestraszające obrazy kreślisz, mój ojciec — odezwała się wreszcie Hoymowa — i dlaczego mnie nimi chcesz zatruwać?

— Bo z czystego czoła i oczu twych, dziecko moje — rzekł duchowny — widzę, żeś bezpieczna, niewinna i nieświadoma tego, co cię otacza: tyś chyba tu niedawno?

— Od kilku godzin — uśmiechając się, odpowiedziała Hoymowa.

— I nie tu przeżyłaś dzieciństwo i młodość swoją, bobys tak nie wyglądała — uśmiechnął się boleśnie stary — nieprawdaż?

— Dzieciństwo spędziłam w Holsztynie... od lat kilku jestem żoną Hoyma, ale mnie trzymał odosobniona na wsi... ledwie zdążyła widzieć Drezno...

— A nie chyba nie słyszała o niem... — dodał stary i wstrząsł się. — Wszystko, co mi mówisz, przeczytałam na czole twem, w wejrzeniu — rzekł smutnie. — Bóg mi czasem daje zajrzeć głęboko w duszę ludzką... Niezmierną litością zostałam zdjęty, widząc cię, piękna pani; zdało mi się, że patrzę na lilie białą, rozkwitłą w ustroniu, którą stado rozhukanego bydła ma podeptać. Było ci kwitnąć, gdzieś wzrosła, i wonieć pustyni a Bogu...

Zamyślił się głęboko. Anna postąpiła przejęta kilka kroków ku niemu. W jej oczach i postawie widać było wzruszenie.

— Ojciec mój — rzekła — ty któż jesteś?

Stary zdawał się nie słyszeć, tak się zadumał głęboko. Powtórzyła pytanie.

— Kto ja jestem? — rzekł — kto ja jestem? nędzna istota grzeszna i wzgardzona, na którą nikt nie patrzy, lub się z niej wszyscy śmieją. Jam głos wołającego na puszczy... jam ten, który przepowiadam upadek, zniszczenie, dni pokuty i niedoli... Kto ja jestem? — naczynie w rękę bożych, przez które czasem przechodzi głos z góry potężny, aby go ludzie nie słyszeli lub ośmieli. Jam ten, za którego czarną suknią biegają ulicznicy, rzucając na nią błotem, ten, którego proroctw nikt nie słucha... nędzarz wśród bogaczy... ale praw i czysty przed Panem... ale spokojny wśród szalów, z modlitwą na ustach wśród rozpusty.

I zamilkł, ostatnie słowa wymówiwszy głosem głośnym. Spuścił głowę.

— Dziwne zrządzenie — odezwała się Anna, nie odstępując od niego — po kilku latach spokoju na wsi, w ciągu których mnie szmer ledwie od stolicy dochodził, przybywam nagle powołana przez męża i w progu spotykam was, jakby przestrożę i oznajmienie... Nie jesteście to palec boży?

Wstrząsła się i dreszcz przebiegł ją całą.

— Zaprawdę dziwne! — powtórzyła.

— Opatrzne... — rzekł stary — a biada tym, co liłościwej bożej nie słuchają przestrogi... Chcesz wiedzieć, kto ja jestem? nikt! ubogi od kościoła kaznodzieja, który coś zgrzeszył na kazalnicy i którego pomsta panów ziemskich ściga... Zowię się Schramm... Hrabia Hoym znał mnie niegdyś w dzieciństwie, przybyłem go prosić o przemówienie za mną. Grożą mi. I oto jak się tu dziś znalazłem... Ale kto was tu sprowadził? kto wam tu przybyć dozwolił?

— Własny mąż! — rzekła Anna.

— Proś go, niech cię uwolni — szepnął, oglądając się trwożliwie duchowny. — Widziałem piękności tego dworu, bo je tu ludowi na ulicach pokazują, jak lalki... tyś nad nie wszystkie piękniejsza stokroć... Więc biada ci, jeśli tu pozostaniesz... okolą cię siecią intryg, osnują jadowitami pajęczynami, uśpią, upoją... zawrócą głowę melodyą pieśni, ukołysz serce bajaniem... złudzą oczy bezwstydem... oswoją ze sromotą, aż jednego dnia, spójona, znużona, osłabła... polecisz w przepaść...

— Nie — zawołała — nie jestem tak słabą, jak sądzicie, ani tak spragnioną życia... Nie, świat ten mi się

nie uśmiecha, patrzę nań z góry... niżej on ode mnie...

— Aleś go oczyma duszy tylko i przeczuć widziała — odparł Schramm — nie wierz sobie, uciekaj z tego piekła... Królewskie w niem posagi popaliły się na węgiel i obrukały sadzami... Idź stąd... idź, idź; szkoda ciebie i białej niewinnej duszy twojej...

To mówiąc, ręce wyciągał, jakby ją chciał wygnać i przyspieszyć odejście; ale Anna stała niezatrwożona, szyderski razem i litości pelen uśmiech błakał się po jej ustach.

— A gdzież ucieknę? — zawołała. — Los mój połączony jest z losem tego człowieka... oderwać go odeń nie w mocy mojej... Ja wierzę w przeznaczenie, stanie się, co mi wyznaczono... tylko nie śpiącą i nie pijaną ośladną mną, nie osłabłą i zwyciężoną, ale chyba im panować będę...

Schramm strwożony spojrzał: stała pełna dumy i siły, uśmiechnięta szydersko i królująca.

W tej chwili otwarły się drzwi i hrabia Adolf Magnus Hoym wszedł zmieszany, powoli, w progu wahając się jeszcze, do własnego gabinetu.

Za stołem wśród świetnego towarzystwa wczorajsze go niekorzystnie się już wydawał; dziś, po białym dniu, po nocnej gorączce i zmęczeniu, wyglądał gorzej jeszcze. Mężczyzna był ogromnego wzrostu, barczysty, silny a niezgrabny. Nie szlachetnego nie nadawało mu wdzięku, twarz pospolita odznaczała się tylko błyskawicznymi zmianami, konwulsyjnie po niej przebiegających wyrazów z sobą najsprzeczniejszych. Oczy szare to ginęły w powiekach, to wyskakiwały, ogniem tryskając, usta śmiały się i krzywiły, czoło marszczyło i wypogadzało, jakby

potajemna władza targała we wnętrzu sznurami, które całą postać zmieniły. I w tej chwili, ujrzawszy żonę, zdawał się być pod wrażeniem najsprzecznějších jakichś uczuć. Uśmiechnął się do niej i w chwilę, jakby gniewem chciał buchnąć, nasrożył się... ale się zwyciężył i, zawahawszy, wsunął żywo do gabinetu.

Na widok Schramma ściągnęły mu się brwi gwałtownie i złość wystąpiła na twarz.

— Szaleńcze, fanatyku, komedyancie przebrzydły — zawołał, nie witając się nawet z żoną — znowuś nabroił, znowu do mnie przychodzisz, abym cię wyciągnął z topieli? Ha? nieprawda? wiem wszystko, pójdziesz precz od kościoła... na wieś, tam, na pustynie, do prostaczków... w góry...

Wskazał ręką.

— Ja ani chcę, ani myślę cię bronić! — dodał, zapalając się — podziękuj Bogu, jeśli cię dwóch dragonów odprowadzi gdzieś do kąta, bo tuby cię dalej co gorszego spotkać jeszcze mogło... Ha! myślicie! — ciągnął dalej, zapalając się, minister, który przystąpił do Schramma tuż, jakby go już sam miał porwać za kołnierz — myślicie, że tu, na dworze wolno wszystko, i że to, co wy nazywacie słowem bożem, nieocukrowane, możecie podawać ustom do słodczyzawy? że wy tu możecie grać rolę natchnionych apostołów, nawracających pogany?... Schramm... mówiłem ci sto razy, ja ciebie nie ocale... gubisz się sam...

Duchowny, niezachwiany bynajmniej, spokojny stał, patrząc ministrowi w oczy.

— Ale ja jestem kapłanem bożym — rzekł — ja-

poprzysięgał dawać świadectwo prawdzie, a każą mi być męczennikiem dla niej... niech się stanie...

— Męczennikiem! — rozśmiał się Hoym — toby było za wiele szczęścia; dadzą ci pięścią w plecy i, oplwawszy, wyświecą.

— Więc pójdę — odezwał się Schramm — ale dopóki tu jest, ust nie zamknę...

— I, kazać będziesz głuchym!... — szydersko dodał minister, ruszając ramiony. — No, dosyć tego, rób, co chcesz... ratować cię nie mogę i nie myślę; tu dobrze, gdy każdy ocali siebie... Ja-m ci to przepowiadał, Schramm... milczeć trzeba umieć, umieć pochlebiać, lub ginać podeptanym... Cóż chcesz, przyszedły takie czasy: Sodoma i Gomora... Bywaj mi zdrów, bo czasu nie mam.

W milczeniu poklonił się Schramm, popatrzał na żonę Hcyma z politowaniem, na niego z milczącym zdziwieniem i skierował się ku drzwiom. Hoym od żony, na którą także był spojrzał, oderwał wzrok ku niemu...

— Żal mi cię — burknął krótko — idź, zrobię, co mogę, ale zatop się w biblii i trzymaj język za zębami: ostatni raz ci to radzę...

Schramm, prawie nie słuchając, wyszedł. Małżonkowie zostali z sobą sam na sam.

Hoym nawet nie przywitał się z Anną, oddawna źle z sobą byli; widocznie nie wiedział, od czego począć rozmowę... zakłopotany stał i zły... Chwycił rękoma dwa końce peruki swej i targał.

— Pocóżś hrabia kazał mi tu przybyć tak nagle? — zapytała Anna z wymówką i dumą.

— Po co? — podnosząc oczy, zawołał Hoym, poczynając wzdłuż i wszerz biegać po gabinecie, jak opę-

tany — po co? bom był szalony! bo mnie ci niegodziwcy spoliłi, bo nie wiedziałem, com robił! bom głupi, bom waryat! Tak! waryat! — powtórzył.

— Więc mogę do Laubegastu powrócić?... — spytała Anna.

— Z piekła się nie powraca! — zaśmiał się Hoym — a waćpani z łaski mojej w piekle jesteś: to istne piekło! Rozerwał na piersiach kamizelkę, jakby go dusiła, i padł na krzesło.

— A! tak! istotnie oszaleć przyjdzie — mruknął — lecz z królem niema wojny...

— Jakto? król?

— Król! Fürstemberg! wszyscy! wszyscy! nawet Vitzthum, kto wie, własna może siostra... spiknięci na mnie... Dowiedzieli się, żeś ty piękna, żeś ja głupi, i kazali mi panią pokazać!

— Któż im o mnie powiedział? — zapytała ciągle spokojna Hoymowa.

Minister nie mógł się przyznać przed nią, iż sam popełnił tę winę, za którą przychodziła pokuta; zgrzytnął zębami, tupnął nogami i zerwał się z krzesła... Złość jego ustąpiła nagle wcale odmiennemu usposobieniu, pobladł, stał się zimnym i szyderskim.

— Dostyc tego — rzekł cicho, zniżając głos — mówmy rozsądnie. Co się stało, tego naprawić nie potrafię... Wezwalem panią, bom musiał ją tu ściągnąć; król chciał, a Jowisz piorunuje tych, co mu się śmia sprzeciwiać... Dla jego zabawki musi służyć wszystko... królewskimi stopy deptcze skarby cudze i rzuca je w śmieć... na to niema ratunku, jak na śmierć...

Zniżył głos i umilkł, jakby słuchał, czy się kto nie odezwie.

I począł znowu zwolna chodzić po pokoju.

— Założyłem się z księciem Fürstenbergiem, że pani jesteś najpiękniejszą kobietą ze wszystkich tych, które tu z profesyi pięknych role grają. Nieprawdaż, żeś był głupi? Pozwalam, byś mi to pani powiedziała... Najjaśniejszy nasz pan ma być zakładu naszego sędzią... i wygram tysiąc dukatów...

Anna zmarszczyła brew, odskoczyła z najwyższą wzgardą, odwracając się od niego.

— Nikczemny waćpan jesteś, panie hrabio — krzyknęła w gniewie. — Jakto? wy! wy, coście mnie jak niewolnicę trzymali zamkniętą, skapiąc mi powietrza i światła, wyprowadzacie mnie teraz, jak komedyantkę na scenę, abym wam wygrywała zakłady blaskiem oczu i uśmiechami? To najwyższa podłość!

— Nie szczędź pani wyrazów, mów, co chcesz — rzekł Hoym z boleścią — wart jestem, zasznużyłem... Wszystkiego za mało na potępienie mnie! Miałem najpiękniejszą istotę w świecie, która kwitła i uśmiechała się dla mnie samego tylko, byłem dumny i szczęśliwy... szatan mi kazał w kielichu wina rozum utopić...

Zalamał ręce. Anna zamilkła i patrzała.

— Ja jadę do domu — rzekła — ja tu nie pozostanę, wstydziłabym się sama siebie... Koni! powóz!

Rzuciła się ku drzwiom. Hoym stał, uśmiechając się gorzko.

— Koni! powozu! — powtórzył — ale waćpani nie wiesz chyba, gdzie jesteś i co cię otacza? Jesteś niewolnicą, nie możesz stąpić kroku; nie ręczę, żeby straż

nie stała u drzwi domu. Gdybyś ośmieliła się wymknąć, dragoni pójdą złapać cię i odprowadzić... nikt nie odważy się wieść... nikt nie uzuchwali ratować... Waćpani nie wiesz, gdzie jesteś?

Hrabina załamała ręce z rozpaczą, Hoym patrzył na nią z jakimś uczuciem niewysłowionej zazdrości, żalu, bólu, szyderstwa i niepokoju.

— Nie — rzekł, dotykając zlekka jej ręki — posłuchaj mnie pani; nie jest jeszcze może tak źle, jak ja mówię, jak przeczuwam; mówmy z flegmą i rozsądnie... Gina tu ci, co chcą być zgubieni... Pani możesz nie być piękną, gdy zapragniesz, możesz się stać odstręczającą, surową, straszną... możesz dla ocalenia mnie i siebie... przybrać postawę odrażającą...

Tu zniżył głos.

— Znasz pani historię naszego najmiłościwszego pana a króla Augusta? — zapytał się z dziwnym uśmiechem. — Pan to wspaniały, hojny... sypiący złotem, które moja akeyza ze spleśniałego chleba ubogich wyciska... Niema drugiego tak wspaniałomyślnego monarchy... niema, któryby potrzebował bawić się drożej, nieustannie i dziwacznie. Łamie podkowy i kobiety, i rzuca je na ziemię; kanclerzy, których ściszał wczoraj, zamyka na Koenigsteinie... Dobry i łaskawy pan, uśmiecha ci się do ostatniej godziny, aby rusztowanie osłodzić... Serce ma najlitościwsze, tylko mu się sprzeciwiać nie trzeba...

Mówił coraz ciszej, a trwożliwemi oczyma biegł dokola.

— Znasz pani historię jego! a! ciekawa bardzo — szeptał dalej — lubi kobiety coraz świeże... coraz świeże, jak smok ów w bajce, żyje dziewicami, które mu prze-

rażeni mieszkańcy do jego jaskini wiodą... a on je pożera... Któż jego ofiary policzy? Waćpani może słyszałaś ich imiona... ale obok znajomych, trzykroć tyle zapomnianych... Król ma dziwne smaki i upodobania: kocha się dwa dni w atlasach, a gdy mu się one znudzą, gotów na lachmany polować... Ludzie wiedzą o trzech królowych z lewej ręki, jabym ich naliczył dwadzieścia... Königsmark jest jeszcze piękną, Spiegel nie jest wcale stara, księżna Teschen w łaskach... ale już wszystkie go znudziły. Szuka, kogoby pożarł! Dobry pan! łaskawy pan! — dodał, śmiejąc się — wszakże zabawić się musi, wszak dlatego na świat przyszedł, aby mu służyło wszystko; piękny jak Apollo, silny jak Herkules, lubieżny jak Satyr... a straszny jak Jupiter...

— Dlaczegoż mi to waćpan rozpowiadasz? — wybuchnęła oburzona Anna — masz-że mnie za tak nizko upadłą, bym na skinienie pańskie dała się sprowadzić z drogi honoru! Waćpan mnie nie znasz! to obelga!

Hoym patrzył z politowaniem na nią.

— Znam moją Annę — rzekł z uśmiechem — lecz znam dwór, pana, ludzi, co nas otaczają, i urok, jaki ich otacza. Gdybyś pani kochała mnie, byłbym spokojny...

— Alem przysięgała wam, to dosyć — odezwiała się z dumą kobieta — nie pozyskałeś serca, ale masz słowo. Słowo jest czemś więcej, niż serce, bo serca ja nie jestem panią, a słowu memu ja-m królową. Takie kobiety, jak ja, nie łamią przysięgi...

— Łamały i takie dla blasku korony — rzekł Hoym — księżna Teschen jest wielką i dumną panią.

Anna ruszyła ramionami z pogardą.

— Mogę być żoną, nie chcę być kochanką — zawołała — sromu na czołe nosić nie umiem.

— Srom! — rzekł Hoym — a! to piecze tylko chwilę, goi się rana i nie boli, choć piętno zostaje na wieki...

— Waćpan jesteś obrzydliwy — przerwała kobieta z gniewem. — Sprowadzasz mnie tutaj sam... i karmisz takimi groźbami...

Wzruszenie nie dozwoliło jej mówić dłużej. Hoym zbliżył się z pokorą.

— Daruj mi — odezwał się — głowę straciłem, nie wiem, co czynię i co mówię... to dzikie domysły i strachy... Jutro jest bal na dworze... Król pan rozkazał ci być na nim, zostaniesz przedstawioną królowej. Mnie się zdaje — zcicha poczał, spuszczaając oczy — waćpani możesz, co zechcesz, nawet nie być piękną... Ja chętnie zakład przegram... Będzie ci łatwo stać się śmieszną... niezgrabną. U króla wiele waży elegancya, dowcip, żywość... cóż łatwiejszego, jak okazać się zaniedbaną, niezręczną, milczącą, roztargnioną i tępą? Rysy twarzy to nic jeszcze... Drezno pełne jest pięknych kucharek... August jest wytwornym znawcą, wymaga wiele... Pani mnie rozumiesz?

Anna odwróciła się od niego w milczeniu wzgardliwym, postępując ku oknu.

— Każesz mi więc grać komedię dla ocalenia swego honoru, postawiwszy go na kartę, o tysiąc dukatów! — zawołała z uśmiechem ironicznym — ale ja nie cierpię fałszu. Waćpana honorowi nic nie grozi... Anna Konstancya Brockdorf nie jest jedną z tych kobiet, co się na łaskę pańską biorą i dają spodlic dla garści brylantów. Nie masz się czego obawiać... bądź spokojnym...

Litość mnie bierze nad wami! Ja na tym balu nie będę...

Hoym zamilkł i pobladł.

— Pani na balu tym być musisz — rzekł głosem stłumionym — tu nie idzie już o żadne dziecinne niebezpieczeństwo, ale o głowę i fortunę, o przyszłość moją... Król kazał...

— A ja nie chcę! — odparła Anna.

— Sprzeciwisz się jemu? — spytał Hoym.

— Dlaczegoż nie? panem jest wszystkiego oprócz domu i rodziny, które do Boga należą... Cóż mi uczyni?

— A! wam nie — rzekł niespokojnie minister — nadto dla pięknych pań jest grzeczny; ale ja pójdę na Koenigstein, majątki nasze zabierze fiskus, rozdrapią faworyci... Nędza, śmierć!

Zakrył sobie oczy rękoma.

— Wy go nie znacie — szeptał cicho — on się uśmiecha i jaśnieje, jak Apollo, ale jak bóg piorunów straszny... Nie przebaczył nigdy nikomu, kto śmiał zwątpić, że jest wszechmocnym. Pani będziesz na tym balu, lub ja zginę...

— A sądzisz pan, hrabio Hoym — odparła Anna — iż ta groźba waszej zguby jest dla mnie tak straszną?

Ruszyła ramionami i poszła znowu do okna.

Hoym posunął się za nią błądy.

— Na miłość bożą, o sprzeciwieniu się woli króla mowy być nie może... zaklinam was!

Kończył te słowa, gdy do drzwi zapukano żywo i służący wpadł, zatrzymując się w progu. Minister brwi ściągnął i nasrożył się.

— Hrabina Reuss i Vitzthum!

Ściągnawszy usta z gniewu, Hoym pośpieszył do progu; chciał służącego wysłać z odpowiedzią odmowną, gdy poza nim postrzegł piękną, wypogodzoną, arystokratycznych rysów twarz hrabiny, a poza nią żywo szpiegujące go oczy siostry.

Zdawało mu się, że o wczorajszym wypadku i o przybyciu żony jego nikt jeszcze w mieście nie wiedział; odwiedziny dwóch tych pań przekonywały go na nieszczęście, iż popełniony po pijanemu błąd, którego sobie darować nie mógł, już się musiał stać pośmiewiskiem powszechnem. Hrabina Reuss nie byłaby się pewnie inaczej ruszyła, by wdowi dom ministra odwiedzić.

Zmieszany nad wyraz, dał znak służce, który odstąpił, a cała postać majestatyczna hrabiny, która się była wstrzymała w progu, ukazała się w czarnych sukniach koronkami okrytych. Hrabina Reuss, biała, świeża, rumiana, form nieco pełnych, ale bardzo wdzięcznych, z uśmiechem łagodnym na różowych usteczkach, nie miała w sobie nic przerażającego; przecież na widok jej bladą twarz Hoyma zdawała się blednąć jeszcze: zmieszał się, jakby w niej grózbę zobaczył...

Siostra jego, pani Vitzthum, towarzysząca hrabinie Reuss, mogła to łatwo dostrzedz w oczach brata. Na obu jednak kobiecych twarzach wykwitły tylko wzamian dwa uprzejme uśmiechy.

— Hoym! doprawdy mogłabym się gniewać na ciebie — ozwała się słodkim, wdzięcznym, melodyjnym głosem hrabina Reuss — jakże to być może! Żona twoja

przybywa nam tu, do stolicy, a ja nie wiem... a ja przypadkiem od Hülchenówny dopiero dowiaduje się o tem.

— Jako? — krzyknął minister, nie posiadając się ze zniecierpliwienia — i Hülchenówna już wie o tem?

— A! — zawołała wchodząc pani Reuss — i ona, i cały świat i wszyscy o tem tylko mówią, że nareszcie masz rozum i biednej kobiecie za kratami wiednąć nie dasz.

To mówiąc, posunęła się ku Annie, badając ją oczyma, rozpatrując się w niej, jak znawca pięknych koni patrzyłby na zwierzę, na targ wyprowadzone.

— Jak się masz, droga hrabino? — rzekła, wyciągając ku niej obie ręce. — Jakżem rada, że cię tu powitać mogę, gdzie jest właściwe miejsce twoje. Pierwsza się tu zjawiam, ale wierz mi, że nie ciekawość mnie tu sprowadza, tylko chęć usłużenia ci. Jesteś jutro na balu u królowej, pustelnico moja śliczna... przybywasz dziś, nie znasz Drezna... każ-że mi sobie pomódz. Ja i Vitzthumowa niepokoiłyśmy się zawczasu o ciebie... Biedna ty nasza strwożona ptaszyno...

W czasie tego przemówienia, ta, którą hrabina Reuss nazwała spłoszoną ptaszka, stała tak dumna i jaśniejąca siłą, wcale niezatrwożona, jakby tu panowała od dawna.

— Dziękuję wam pięknie — odezwała się spokojnie — właśnie mąż mi powiedział, że mam być na balu. Lecz jest-że to koniecznością? Czy nie mam prawa zachorować choćby ze strachu, że mnie tak nadzwyczajne szczęście spotyka?

— Nie życzyłabym ci tego pretekstu używać — odpowiedziała hrabina Reuss, którą Hoym ze swojego gabinetu, podawszy jej rękę, przeprowadzał właśnie do ponurej sali audyencyjonalnej — nikt nie uwierzy w chorobę, popatrzywszy na ciebie, co wyglądasz, jak Juno, pełna blasku zdrowia i siły; nikt nie da wiary przestachowi, boś nieulekniona.

Vitzthumowa wzięła pod rękę Annę i, korzystając z tego, że ją brat wyprzedzał nieco, szepnęła na ucho:

— Kochana Anno! nie masz się zaprawdę ani czego trwożyć, ani wymawiać; raz przecie wyjdiesz z tej niewoli, którą dla ciebie oplakiwałam. Zobaczysz dwór, króla... świetność naszą, której równej niema w Europie. Ja ci pierwsza winszuję. Jestem przekonana, że los najszcześniejszy cię czeka...

— Ja-m tak do mojego więzienia i ciszy nawykła — cicho rzekła Anna — iż mi już nad nie nic więcej nie było potrzeba.

— Hoym mój — dodała Vitzthumowa — spali się z zazdrości!

I śmiać się poczęła do rozpuku.

Trzy panie, którym towarzyszył pomieszany minister, stały wśród sali jeszcze, gdy służący odwołał Hoyma, za którym się drzwi gabinetu zamknęły. Hrabina Reuss pierwsza usiadła, pochylając się ku pięknej gospodyni.

— Droga moja — szepnęła — bardzom rada, że pierwsza cię witam rozpoczynając życie nowe. Wierz mi, mogę ci się przydać na co... Hoym niechęący podstawił

ci pod nogi podnózek, po którym wyniść możesz wysoko... Jak anioł jesteś piękna!

Anna zmilezała chwilę.

— Sądząc, żeś ambitna, mylisz się, kochana hrabino — odezwała się zimno — płóche lata przeżyłam, wiele myśleć musiała nad sobą i światem, siedząc w samotni mojej. Wzdycham tylko, aby do niej i do mej biblii powrócić.

Reussowa się roześmiała.

— Wszystko to się zmieni — rzekła, wdzięcząc się do gospodyni. — Na teraz myślimy o jutrzejszem ubraniu. Vitzthumowa, patrz i złożmy walną radę, jak ją ubrać mamy, bo sama gotowa się zaniedbać. Tobie powinno iść przecie o honor domu brata.

— Jakkolwiek się ubierze — odezwała się Vitzthumowa — zawsze będzie najpiękniejszą. Teschen z nią walczyć nawet nie może, jest zwiędła. Na całym dworze niema żadnej, coby nie zgasła przy Annie. Mnie się zdaje, że jak najskromniejszy ubiór będzie jej jak najlepiej do twarzy... niech inne się sadzą na róż, bielidło i fioki... jej dość choćby dziewiczej sukienki...

Rozmowa o gałgankach stała się żywą, przerywaną, gorącą, polemiczną. Hrabina zrazu nie mieszała się do niej, słuchając tylko dwóch przyjaciółek, zbyt czułych, by ich zajęcie się nią nie budziło podziwienia i pewnej obawy. Powoli jednak i ona uległa magnetycznemu pociągowi, jaki strój ma dla niewiast, wrzuciła słowo i śmiechem przerywany spór toczył się już coraz welszy.

Hrabina Reuss z niezmierną bacnością przysłuchiwała się każdemu słowu pani Hoym, tajemnie przypatrywała się jej z jakimś niepokojem dziwnym; zdawała wrzucać pytania, chcąc w odpowiedziach coś więcej usłyszeć nad to, co one zawierały. Anna przeszła wkrótce z rozdrażnienia rannego w stan jej wiekowi właściwy, zaczęła dowcipkować i śmiać się, rzucając z wielką łatwością słówkami, iskrzącymi tysiącem ostrych brylantów. Zdawała, że szczerością niezwykle opowiadała o sobie, swych uczuciach i przecuciach. Pani Reuss przyklaskiwała. Po kilkakroć chciała ją uścisnąć, tak się ucieszyła żwawością młodzieńczą tego umysłu, który w spokoju i ciszy całą dziewczęcią zachował potęgę.

— Cudowna Anna nasza! zachwycająca! nieźrówna! — wołała. — Jutro wieczorem cały dwór u kolan jej leżeć będzie. Hoym wcześniej powinien sobie przygotować pistolety. Teschen zachoruje i omdleje znowu, ona, co tak jest skłonna do mdłości, odkrywających jej wdzięki!

Vitzthumowa śmiała się. Reussowa opowiadała z tego powodu młodej pani, jak księżna Lubomirska zdobyła króla serce omdleniem na widok jego upadku z konia. Omdleli naówczas oboje, bo i król także, ranny mocno w nogę, stracił przytomność. Przebudzenie było rozkoszne... bo August klęczał u nóg jej, gdy po raz pierwszy otwarła oczy.

— Niestety! — dodała Reussowa — dziś, gdyby nawet napadły ją mdłości, król-by się może raczej przestraszył, niż uradował niemi. Przeszły pierwsze zapęły. Na jarmarku lipskim najjaśniejszy pan puścił sobie cugle i dokazywał z francuskimi aktorkami. Co gorzej, mówią,

że się szalenie zakochał w księżnie Anhalt-Dessau... od której tylko doznał nielitościwej oziębłości... Fürstemberg słyszał od niego niedawno, że serce ma wolne i gotówby jakiej piękności uczynić z niego ofiarę.

— Spodziewam się — rzekła obrażona nieco Anna — iż mnie, kochana hrabino, nie posądzisz o to, bym stanęła w rzędzie z francuskimi aktorkami, choćby po drugiej stronie księżne się znalazły. Serce królewskie wcale nie wesołym jest darem, a moje coś więcej warto, niż resztki po księżnie Teschen...

Reussowa zarumieniła się mocno.

— Cicho! cicho! dziecko jakieś — odezwała się oglądając — któż ci mówi o tem. Paplemy o wszystkim... dobrze, byś na wszystkie wypadki była przygotowaną. Vitzthumowa i ja przyślemy ci kupców naszych i szwaczki. Jeśliś swoich brylantów nie wzięła z domu, albo ci ich braknie, Meyer pożyczycy w największym sekrecie, jakich tylko zapragniesz, niewidzianych tu na dworze. Usłużny jest i grzeczny.

To mówiąc, wstały obie i poczęły ścisnąć Annę, która je, milcząc, do drzwi salonu przeprowadziła. Hoym już się nie pokazał, w gabinecie pełno było urzędników od akeyzy.

U schodów na dole stała karetka hrabiny Reuss, do której wsiadły obie. Jakiś czas milczały zamyślane. Vitzthumowa pierwsza przerwała to zadumanie.

— Co ty wróżysz? — spytała.

— To nieuchronne — szepnęła hrabina — to konieczne. Hoym od dziś dnia za wdowca się uważać może. Anna dumna jest... będzie się szczęściu opierać dłu-

go, ale nie króla więcej nie drażni nad taki opór, z którym walczyć musi. Jest jak anioł piękną, śmiałą, dowcipną, dziwaczną; wszystko to przymioty, które nie tylko ciągną ale i wiążą. Droga moja, będziemy z nią teraz jak najlepiej, nim pochwyci w ręce wodze; potem byłoby zapóźno... Ja ciebie, ty mnie wspomagaj: dajmy sobie ręce. Przez nią króla mieć będziemy, ministrów, wszystko. Teschen zgubiona, co mnie niewymownie cieszy; u tej nudnej, sentymentalnej księżnej nigdy nie zyskać nie mogła. Ma też dosyć: syn uznany, księstwo nadane, bogactwa ogromne; królowała nam za długo. Schodzi z pola, król się nudził, a jeśli kiedy, to teraz, gdy jest tak nieszczęśliwy, pociechy potrzebuje i rozrywki. Fürstemberg, ja i ty trafimy w to nareszcie, że ją obalim. Dość mamy wszyscy tej cudzoziemki. Trzeba tylko całą intrygę prowadzić rozumnie, ostrożnie, może powoli, bo Anna szturmem się wziąć nie da: nadto jest dumna

— Biedny Hoym — zaśmiała się Vitzthumowa — jeśli będzie miał rozum...

— Zyszcze na tem: nie kochał jej oddawna rozpustnik — przerwała hr. Reuss — choć jesteś jego siostrą, mogę przed tobą mówić otwarcie. Sam zresztą zgotował sobie ten dramat, którego padnie ofiarą.

— Posądzam Fürstemberga!

Hrabina Reuss zmierzyla ją bystrem, przelotnem wejrzeniem i w oczach jej błysnęło na chwilę coś, jakby iskierka szyderstwa. Ruszyła ramionami.

— A, są osoby predestynowane — rzekła z ironią. Nagle, po kobiecemu jakoś, zaśmiała się głośno.

— Wiesz — dokończyła — powinna włożyć suknię pomarańczową i korale. Włos ma kruczy, cerę dziecięcej świeżości, będzie jej cudnie do twarzy. Uważałaś, jaki to ogień w tych oczach!

— I jaka duma! niestety! — dodała Vitzthumowa.

— Niech-no króla zobaczy! — zakończyła pierwsza — niech August zapragnie się jej podobać, ręczę ci: i głowę i dumę straci.

IV.

Przy Pirnajskiej ulicy, naówczas jednej z najparadniejszych małego, murami obwiedzonego i ściśniętego Drezna, stał pałac Beichlinga, niegdyś kanclerza a dziś więźnia stanu na Koenigsteinie. Księżna Lubomirska, z domu Bokunówna, stolnikówna litewska, rozwiedziona z mężem, ukochana przez króla Augusta II, uczyniona księżną Teschen po urodzeniu słynnego kawalera de Saxe, w nagrodę zapewne, iż się przyczyniła do upadku kanclerza, po którym ogromny spadek rozchwyтали dworacy pańscy, dostała pałac Beichlinga darem i w nim wspaniałą swą umieściła rezydencję. Jeżeli nie odpoczywała w darowanych jej także dobrach Hoyerswerda i innych majątnościach na Łużycach, siedziała naówczas w pałacyku na Pirnajskiej ulicy, lub bawiła się zakładaniem ogrodów na Friedrichstadzie. Owe pierwsze lata gorącej miłości i rycerskiej zalotności, gdy piękny król nie mógł dnia przeżyć bez drogiej Urszulki, gdy śliczna księżna konno wylatywała na spotkanie królewskiego kochanka, strojna w saskie kolory i jaśniejąca blaskiem

swych lat dwudziestu — owe lata szczęśliwe, przebyte w Warszawie, przewędrowane w wycieczkach po Niemczech, prześpiewane na wspaniałych balach drezdeńskich i lipskich, zdawały się bezpowrotnie minione.

Od tego balu karnawałowego w Lipsku, gdy niemiłosierna królowa pruska, Zofia-Karolina, karcąc zalotność Augusta II, który do znajdującej się w jej orszaku księżnej Anhalt-Dessau zwrócił swe zapęły, sprowadziła razem pod oczy bałamutnego Don-Żuana trzy jego dymisjonowane kochanki: Aurorę Königsmarck, hr. Esterle i panią Haugwitz... aby króla razem i księżnę Teschen Lubomirską wprawić w kłopot i zawstydzić; od tego balu, co się najczulszemi później ukończył zapewnieniami stałego przywiązania, księżna Teschen, jakby po strasznej *memento mori*, nieustannie miała na myśli jedno: że może, że musi być jak inne zdradzoną przez niestałego a znudzonego Augustynka. (Augustynkiem poufale zwano króla jegomości i „mein lieber Augustin“, piosenka popularna, do niego się stosowała). Król wprawdzie, mimo pokątnych bałamuctw bez liku, zawsze okazywał księżnie Teschen wielką miłość w słowach i poszanowaniu. Urszulka miała nad nim władzę i umiała władać ze zręcznością wielką, wodząc go na złotych paskach, białą rączką kierowanych; ale czuła w duszy, że król lada chwila miał się od niej oderwać na zawsze.

Zwierciadło pokazywało jej jeszcze rysy twarzy wdzięczne i resztki świeżości, które starannie pielęgnowała, ale piękność ta i blaski nie miały już uroku nowości dla króla, który łatwo się nudził i coraz częściej świeżego dla rozbawienia potrzebował. Bawiła go roz-

mowa pięknej księżnej, jej zręczność w zabiegach dworskich, jej polityka pokryta gazą płochości kobiecej, jej perfumowana przewrotność i gra poplątanych intryg, które prowadzić na swą korzyść umiała. August przyjeżdżał do niej jeszcze na parę godzin, ale dziś już, gdyby ją, jak niegdyś, zapytała królowa, kiedy odjeżdża z Drezna, nie śmiałyby odpowiedzieć zuchwale, że przybyła z królem i z królem tylko napowrót wyjedzie. Mgłą smutku powlokły się jej śliczne łzawe oczy niebieskie, pełne melancholii i łudzące charakterem łagodnym, gdy w istocie księżna żelazną miała wytrwałość w postanowieniach i zabiegach... Z każdym dniem większa opanowywała ją trwoga, azali nie przyjdzie rozkaz opuszczenia Drezna i wiekuistego z królem rozdziału.

Nie się na pozór nie zmieniało, nie jej nie brakło; szanowano ją jeszcze, jako panią, na dworze, a w oczach dworaków czytała blizki swój upadek: łapała szyderskie ich półśmiechy i ukradkowe złośliwe spojrzzenia.

Urszula, był czas, że kochała Augusta, kochała go bardzo gorąco; ale naówczas sądziła, że dla niej usatkuje się płochy, że kiedyś może być królową: złudzenia te dziś się rozwiały i uszły. Los wszystkich ulubienic pana miał i musiał ją spotkać. Rozczarowana, ostygła, odzyskiwała jeszcze dawną wesołość i zalotność, gdy królowi podobać się chciała; później zamknięta w domu, płakała po cichu kryjomo i zemstą zawczasu już pierś się jej podnosiła... Coraz częstsze bywały teraz listy do prymasa Radziejowskiego... Ale król znał niebezpieczeństwo narażenia sobie siostrzenicy pierwszego dostojnika Rzeczypospolitej i wysiłał się na przekonanie jej o swym stałym przywiązaniu. Tymczasem szpiegowano księżnę

pilnie. Król, nim zasłużył na pomstę, już się jej lękał...

Miłość ze strony Augusta II zmieniła się w czezą galanterię: czuć ją było lodem i chłodem... Księżna Teschen zajmowała pierwsze miejsce po królowej u dworu, ale w sercu, na równi z królową, była mu już obojętna.

Marzenia o Koloandrowych miłościach przeciągnęły jak wiosenne obłoki, duma tylko po nich obrażona została.

Gdy stolnikówna litewska rzucała rodzinną ziemię, marzyła o tronie: tron rozsypał się w próchna... pozostawał wstyd chybionej rachuby i sromotne położenie kobiety bez męża i domu... Zapłaconej za chwilę szalu bogatymi podarkami tytułów, ziemi i złota... chwila tryumfu była krótką i znikomą, wstyd został wiekuisty.

Księżna Lubomirska nie mogła tak powrócić do Polski.

Biedna kobieta, lękając się co godzina opuszczenia i wyroku, co ją miał stracić z wyżyny, na której się chwiała, myślała o sobie. Nudzila się też... a chłopię, które jej kilka razy na dzień przyprowadzano, przyznane dziecie królewskie, przychodziło w uścisku pięć gorące lzy, z którymi się matka tała... Księżna Teschen nie miała prawa nazwać się nieszczęśliwą, ale już się nią czuła. Dziecie jej miało zapewnioną przyszłość, ona żadnej.

Pałac przy Pirnajskiej ulicy jeszcze dawnym obyczajem zgromadzał codzien tłumy dworaków, pięknych pań i zalotnych kawalerów. Zwłaszcza ostatnim król zdawał się nietylko nie wzbraniać, ale ułatwiać przystęp. Możeby był rad, aby który z nich pozyskał sobie serce, już mu ciężące przywiązaniem zbyt łzawem...

Niecierpliwiło to Augusta Mocnego, który w życiu nigdy nie płakał, iż księżnę widział zawsze we łzach i tam, gdzie szukał roztargnienia, znajdował nieskończone wyrzuty.

Księżna, jeszcze pozornie w łaskach, miała szczerych czy nie przyjaciół i donosicieli; wiedziała codziennie o każdym króla kroku, uśmiechu i słowie... szpiegowwała go zazdrośnie. Z owej uczyt nocnej, gdy wyciągnięto z Hoyma przyznanie się do pięknej żony, gdy go na zakład wyzwano, gdy posłano do Laubegastu po piękną Annę, księżna Teschen miała sprawozdanie dosłowne... Niespokojna, w gorączce chodziła, myśląc, czy ma się na balu u królowej znajdować, stanąć do pojedynku tego, lub pogardliwie, rzuconą rękawicę niepodniesioną zostawić.

Rano, około jedenastej, doniesiono o przybyciu pani Hoymowej. Nikt jej nie znał jednakże, nikt nie widział, nikt opisać nie umiał. Wszyscy zgadzali się na to, że była piękną; wiadano, że, urodzona w roku 1680, była rówieśnicą Lubomirskiej, ale rodzaju i niebezpieczeństwa tej piękności nikt opisać nie umiał.

Po stolicy biegały najrozmaitsze wieści. Kyan nieliściwy miał się odezwać:

— Nie pytajcie, czy piękna, byle do ostatniej nie była podobną...

Księżna czuła to także: nie szło o piękność, tylko o wrażenie nowe...

Tego dnia ranny zastęp gości u księżnej był mniejszy, niż kiedykolwiek, wszyscy biegali po mieście, nowiny roznosząc i polując na nie.

Mówiono, że król, jak zwykle, gdy mu szło o świetność zabawy, sam jak najstarszanniej balowy program oznaczył... i niecierpliwiał się już o zakład Fürstemberga i Hoyma. Mówiono, że panna Hülchen i hrabina Reuss już troskliwie intrygowały, aby Hoymową w swe sieci uwikłać i łaski jej sobie zapewnić.

Vitzthumowa zapewniała głośno, iż jej bratowa zagasi wszystkie urodą.

Księżna szła w miasto, odbierała raporty swych wierznych, rozpaczała i płakała. Trzy razy potrafiła króla, chcącego zerwać, zatrzymać; teraz zdawała się godzina stanowcza... Łamała ręce: nagle myśl dziwna jej przyszła... spojrzała na zegar. Dom Hoyma nie bardzo był daleko od jej pałacu. Szepnęła coś służącej... zarzuciła gestą czarną zasłonę na oczy, od łez czerwone, i cicho zbiegła po schodach do sieni. Tu stały dwie lektyki i gotowi dwaj drażnicy. Rzuciła się w jedną z nich. Ludzie, którym szepnęła słówko służąca, zamiast iść ulicą, poszli tyłem ogrodami. Zielonych jeszcze drzew gałęzie osłaniały ścieżkę wąską i pustą, na którą wychodziła także furtka z ogrodu Hoyma. Niewidzialny ogrodowy otworzył ją dla wyskakującej z lektyki księżnej, która, obejrzawszy się, wbiegła wprost na górę do Hoyma pałacu. W sieni czekał już na nią młody człowiek, który jej schody wskazał.

Przez ciemny korytarz zakwefiona i niemogąca dać się poznać, choćby ją kto napotkał, Lubomirska dobiegła do drzwi wskazanych i zapukała.

Nierychło je otwarto. Zdaje się, że służa, która ostrożnie uchylała drzwi, chciała tylko zobaczyć, kto przyszedł, i nie byłaby wpuściła nadbiegającej, ale księżna

Teschen jedną rączką wpuściła w jej dłoń kilka dukatów, drugą popchnęła zlekka, obejrzała się, w które drzwi iść dalej, i pobięła.

Anna Hoym przechadzała się samotna po pokoju, który dla niej urządzać miano, gdy nieznana postać zakwefiona ukazała się na progu. Zdumiona temi niespodziewanemi odwiedzinami, cofnęła się marszcząc i gniewna.

Lubomirska odrzuciła czarny kwef, stanęła i oczy wlepiała ciekawie, słowa nie mówiąc z Hoymową, zdyszana, przejęta patrzyła... wargi jej ścinały się i drżały, bladość okrywała lica... Obejrzała się lekko dokoła i, szukając podpory, na bliską kanapkę zemdlona upadła.

Anna pobięła ku niej, przybyła i służąca. Obie podniosły omdlałą.

Oslabienie jej trwało tylko chwilę, porwała się, jak obłąkana, oczy znów wlepiała w rywalkę i milcząc wskazała na służę, aby odeszła.

Zostały sam na sam.

Cała ta scena, po kilku rannych scenach następująca, niepokojem napełniła przybyłą i tak już strwożoną kobietę. Po długim spokoju na wsi rozpoczynało się dla niej gorączkowe jakieś życie, wśród którego opamiętać się było trudno.

Lubomirska wyciągnęła ku niej bladą, zimną rączkę drżącą.

— Daruj mi — rzekła głosem słabym — chciałam cię zobaczyć, chciałam przestrzedz. Pędził mnie tu głos obowiązku... sumienia...

Anna milczała, ciekawie się w nią wpatrując.

— Patrz na mnie — dodała — rozpoczynasz dziś to życie, które ja kończę. Byłam, jak ty, niewinna, szczer-

śliwa, spokojna, szanowana, w zgodzie z sumieniem i Bogiem... Miałam tytuł książęcy, męża i lepiej niż to, imię niepokalane ojca i rodziny... Przyszedł ukoronowany człowiek, który mi to odebrał wszystko jednym uśmiechem. Berło i koronę kładł u nóg moich, oddawał serce... Poszłam za nim... Spójrz na mnie... Ja dziś nie mam nic: imię pożyczane, złamane serce, stracone szczęście, wstyd na czole, niepokój w duszy, przyszłość groźna i troska o los dziecięcia. Na świecie niema dla mnie nikogo.. krewni się nie przyznają do mnie, ci, co się czolgali u nóg mych, jutro znać nie będą. On! on!... odepchnie, jak obcą...

Anna, słuchając, zarumieniła się.

— Pani! — zawołała głosem przerywanym — dlaczegoż widzisz dla mnie niebezpieczeństwo, którego ja sama dojrzeć nie mogę? Ja cię nie rozumiem... Kto pani jesteś?

— Wczoraj królowa, dziś, nie wiem kto — odparła Teschen.

— Ale ja nigdy żadnej korony nie miałam pragnienia, każda skroń pali — zawołała Anna — dlaczegoż spotykać mnie mają te groźby?

— Przestrogi — przerwała Lubomirska — daruj mi, twej skroni przystała korona, ludzie zawczasie ci ją dają; jam chciała odsłonić złoty jej wieniec i wewnątrz pokazać cierniowy...

— Mylisz się pani — rzekła spokojnie Hoymowa — nie sięgnę nigdy po żadną koronę, nadto jestem dumna. Musiałabym ją zanieść z sobą do trumny, albo jej nie dotknę nigdy... Uspokój się pani...

Teschen padła na kanapę, spuściła głowę i zaczęła płakać rzewnie. Łkanie jej obudziło litość w Annie, zbliżyła się z ciekawością i współczuciem.

— Wszystko, co mnie tu od rana spotyka, jest niezrozumiałem — odezwiała się z cicha — chciałabym się wyrwać stąd jak najrychlej. Któż pani jesteś?

— Teschen — odparła przybyła cicho, podnosząc oczy — słyszałaś o mnie, domyśl się, dlaczego cię tu ściągnęło... Świeżej twarzy potrzeba znudzonemu panu...

Anna krzyknęła z oburzeniem:

— Podli! frymarczą więc nami, jak niewolnicami... a my...

— Ofiarami ich jesteśmy...

— Nie! ja nie będę, ja nie chcę być ofiarą — przerwała Hoymowa — uspokój się pani; jam tak dumna, że nędzę raczej zniosę, niż upokorzenie...

Teschen spojrzała na nią, popatrzała długo i wziętnie.

— Nie będziesz ty, będzie druga: godzina moja wybiła... lecz choć ty, choć jedna, jeśli masz siłę, pomścij nas wszystkie, odepchnij, rzuć im wzdardą w oczy. To woła o pomstę do Boga...

Zarzuciła kwef na oczy, podała rękę w milczeniu.

— Jesteś ostrzeżoną, broń się...

Biegła ku drzwiom z pośpiechem, a Hoymowa stała jeszcze, słowa wyrzec nie mogąc. Zjawisko znikło.

Na schodach czekał na nią ten, co ją wprowadził. Szybko posunęła się ku lektyce, gdy, zapuszczając zasłonę, w oknie jej ujrzała bladą twarz młodego wojskowego, który, drżący i niespokojny, w nią się wpatrywał.

Twarcz młodego oficera była piękną i arystokratycz-

na, pełną wyrazu, męstwa i energii; lecz w tej chwili zgroza i ból ją zmieniały. Zdawał się oczom swoim nie wierzyć. Mimo dwóch tragarzy, którzy już lektykę podnosili mieli od ziemi, zbliżył się do okna.

— Księżno Urszulo — zawołał wzruszony — mam-że oczom mym wierzyć, jest-że to podobna!? Was-że to widzę ukradkiem wyrywającą się na jakąś schadzkę zapewne... Mówcie, zaklinam; całą prawdę mi powiedziecie, abym natychmiast siadł na koń i więcej nie wrócił. Księżno! pani! ja szaleję z miłości-dla was... a wy... — zakrył oczy.

— Wy szalejecie, to prawda! — popędliwie przerwała — szalejecie tak, żeście ślepi, bo mogliście widzieć, że wychodzę od Hoyma, w którym się przecie zakochać nie mogłam.

Pochwyciła go za rękę.

— Chodź przy mnie, chodź ze mną; nie puszczę cię, aż się wytłomaczę: nie chcę, abys i księżę mnie w tej chwili opuścił i obwiniał... tegobym już przeżyć nie mogła.

Piękne, zalzawione oczy księżnej, zwrócone ku młodzieńcowi, którego rękę pochwyciła, mówiły tyle, iż smutek znikł z jego twarzy, która rozpromieniała.

Podbiegł więc posłuszny za lektyką aż do pałacu, u schodów podał rękę księżnie i razem weszli na pokoje. Znużona i złamana, chwytając się za głowę, księżna padła na kanapkę, rozkazując towarzyszącemu jej, aby usiadł przy niej.

— Widzisz mnie księżę w gniewie i oburzeniu! wracam od tej... od tej, którą tu sprowadzili szkaradni nie-

przyjaciele moi, aby mnie wygnać; aby mój wpływ obalić. Słyszaleś już o Hoymowej?

— Nie słyszałem — odparł młody książe (którym był Ludwik Wirtemberski) — nie słyszałem nic nad śmiechy z biednego Hoyma, którego spojono na to, aby go zmusić do pokazania żony...

— Tak, umiano obudzić ciekawość w Augustcie, osnuło intrygę — poczęła księżna, ożywiając się coraz bardziej. — Widziałam ją, jest piękną... jest niebezpieczną, może być dwa dni królową...

— A! tem lepiej! tem lepiej! — porywając się z siedzenia, zawołał książe Ludwik — pani będziesz wolną...

Teschen rzuciła nań okiem badawczem, młody chłopak zarumienił się; nastąpiła chwila milczenia. Podała mu rękę, którą on pochwycił z zapalem. Trzymał ją jeszcze przy ustach, gdy z drugiego pokoju ze śmiechem suchym, przykrym, złym wpadła, klaszcząc w ręce, osóbką małą, nie piękna, nieco do księżnej podobna, chociaż o wiele od niej brzydsza.

Wiek trudno było z twarzy rozpoznać; mogła zarówno mieć lat dwadzieścia kilka i o dziesięć więcej. Znać z niej było, że nigdy świeżą nie była i mogła się też do późna nie zestarzeć. Nosila jedną z tych twarzy, co są staremi w dzieciństwie i niby młodemi w starości. Szare jej oczki, złe, szpiegujące, ostre, kręciły się i biegaly; usta miała pełne szyderstwa, każdy rys zdradzał ruchliwą, gorączkową kwoczkę i niezdolną intrygantkę. Strój, nadzwyczaj staranny i pstry, obmyślany był tak, aby jedyną piękność jej podnosił: figurkę zgrabną i w pasie przeciętą, nóżkę małą i kibić zręczną. Żwało okręciła się na trzewiczku ku księżnie, klaskając

w dłonie, w chwili, gdy zawstydzony książę Wirtemberski usta od ręki odrywał.

— Bravi! bravissimi! ale niechże ja nie przeszkadzam — krzyknęła ostrym głosem baronowa Glasenapp — nous sommes en famille, niema się co mnie wstydzić. Siostrunia bardzo słusznie rejteradę sobie zabezpiecza wojskową osłoną... bo... bo podobno zbliżamy się do chwili, w której przyjdzie rejterować z serca króla i dworu! Dobry wódz zawsze sobie zapewnia drogę do odwrotu.

Mała ta, zwinna pani, niecierpiana od całego dworu, który roznoszonemi plotkami starała się klócić i różnić, była stolnikówna litewska, panna Bokunówna, rodzona siostra Lubomirskiej, żona (natenczas) barona Glasenappa, ale tylko z imienia, gdyż w czułych była stosunkach ze sławnym Schulemburgiem. Na dworze tym zawsze się trzeba było pytać nie o nazwisko męża, ale o imię ulubieńca.

— Z kochaną siostrunią bardzośmy się dawno nie widziały — rzekła, papląc pośpiesznie — ale w chwili niebezpieczeństwa zjawiam się zawsze: tak i teraz... Słyszałaś, Teschen — dodała, śmiejąc się złośliwie — sprowadzili Hoymową. Ja ją widziałam raz, wprzód nim król nadjechał, gdy była w Dreźnie, i przepowiedziałam naówczas, że, jak Helena trojańska, komuś będzie niebezpieczeństwa przyczyną... Piękna jak anioł, brunetka, co dla blondynek, jak Teschen, zawsze najniebezpieczniejsze... żywa, dowcipna, zła, dumna... a nosi się jak królowa! Wasze panowanie skończone...

Rozśmiała się głośno.

— Ale ty do książęcych tytułów masz okrutne szczę-

ście — poczęła, nie dając nikomu przemówić słowa. — No! ja... ja ledwie mogłam z biedą złapać chudego pomorskiego barona, a ty miałaś Lubomirskiego, masz Teschen i już na zapas starasz się o Wirtemberskiego...

Młody chłopak stał zarumieniony i gniewny. Teschen spuściła oczy, ale cicho przez zęby szepnęła:

— Znalazłabym jeszcze czwartego, gdybym tylko chciała.

— Jeśli chcesz, ja ci jego imię na ucho powiem — przerwała, zrywając się i biegnąc do siostry, baronowa. Przyłożyła obie dłonie do ust i rzuciła jej w ucho: — Książę Aleksander Sobieski, nieprawdaż? ale ten się nie ożeni! a Ludwiczek gotów; staraj się go zatrzymać.

Ze wstrętem odwróciła się księżna Teschen od siostry, która, przeglądając się w zwierciadłach, biegła już po pokoju, oczyma śledząc dwie istoty, którym rozmowę z taką złośliwością podsluchaną przerwała.

— Jeśli Teschen będzie miała rozum — rzekła — może jeszcze z tego przesilenia wyjść zwycięsko. Hoymowa, prostytutka, zrazi króla... spodoba mu się z twarzy, ale dumą go odepchnie; po niej Teschen znowu wyda się miłą i dobrą... Cóż robić, fantazyom króla trzeba umieć przebaczać. Ci ludzie mają troski nadludzkie i nadludzkie przywileje... Przykro mi tylko — mówiła ciągle, nie przestając — że cię tak wszyscy już wzięli na zęby, że hrabina Reuss i Hülchen już nowemu bóstwu składają ofiary; że Fürstemberg a nawet szwagierek Vitzthum akcyzie gotowi złote rogi przyprawić... Biedny Hoym! jeśli go żona porzuci, doprawdy, gdyby nie pewne obowiązki, poszłabym za niego, aby mu osłodzić wdo-

wieństwo... Ale rozpustnik stary, ani mnie, ani żadnej nie zechce.

W tem miejscu nieutamowanej gadaniny baronowej Glasenapp książę Ludwik pożegnał się, a uścisk ręki, jakim go obdarzyła księżna Urszula, nie uszedł oczu bacznych Glasenappowej, która mu dygnęła zdaleka.

Dwie siostry zostały sam na sam, milczenie trwało chwilę.

— Nie powinnaś tego brać tak tragicznie — poczęła Glasenappowa, ruszając ramionami — rzecz była doskonale przewidziana oddawna... Król się znudził blondynką... ty masz księstwo, masz Hoyerswerdę, masz miliony, brylanty, pałac po Beichlingu, wyposażenie dla syna... masz twą piękność, masz resztkę młodości... i księcia Ludwika, który się z tobą gotów ożenić... Przyznam ci się, że jeszczebym się na twój los pomieniała, oddając ci Schulemburga w dodatku.

— Ale ja go kochałam! — płacząc znowu, przerwała Teschen.

— A! to już przeszło... wiem! — odparła baronowa Glasenapp — kochaliście się wzajemnie, ja sędzę, najmniej pół roku, wśród którego on cię z dziesięć razy zdradził po cichu, a ty jego! wiele? ja nie wiem! ale żeś zdradzała! o! ręczę!

— Siostro! — zawołała z oburzeniem Teschen.

— No, ani razu! A jednak, patrz-że, wśród tej miłości dla niego umiałaś sobie na zapas w odwodzie postawić Wirtemberga i dziś, gdy tak się przydał, masz gotowego! Przyznam ci się, mnie złą nazywają i przewrotną: jabym tego nie potrafiła... Ja dopiero, gdym się do podrapania skłóciła z Glasenappem, wyszukałam so-

bie Schulemburga. Mnie bo się nic nie wiedzie... i wszyscy mnie nie cierpią, co ja im oddaję z lichwą!

Poczęła się śmiać sucho.

— Słuchaj, Lubomirska — ozwała się po chwili — królowie przy rozstaniu miewają zwyczaj żądać zwrotu darowanych dyamentów... ostrzegam cię więc, byś swoje w bezpiecznem złożyła miejscu...

Spojrzała na siostrę, która się jej zdawała nie słuchać.

— Będiesz dziś na balu? — dodała.

Wyraz bal wstrząsnął Lubomirską, która powstała nagle.

— Na balu!... tak! — poczęła zamyślona — potrzeba być na balu... tak! pójdę, cała w czerni, w żałobie, bez klejnotów, w grubej sukni... toby było... uderzające... lecz, powiedz, Tereniu... będzie-ż mi żałoba do twarzy?

Glasenappowa rozśmiała się.

— Niezawodnie... żałoba jest wszystkim do twarzy; lecz, jeśli myślisz, że tem rozczulisz Augusta i dworaków poruszysz, mylisz się mocno... Śmiać się będą! Oni tragedyi nie lubią... Pójdiesz w żałobie! — powiedzą, żeś dojrzała do trumny; pochowają lekkim sercem...

— Bądź-co-bądź! w żałobie! pójdę w żałobie! — powtórzyła Teschen — ale pójdę... stanę przed nim, jak widmo milczące...

— A że Hoymowa będzie rumiana, wesoła i świeża, znikniesz, jak widmo, niepostrzeżona... Wierz mi... przeszłości powrócić niepodobna...

Spojrzała na zegar.

— A! jak późno! żegnam cię... do balu! Ja także będę na nim... ale na drugim planie, jako widz, który aktorem przykłaśnie... Bądź zdrowa!

V.

Parami wchodziły damy, wiedzione przez mężów lub krewnych. Po nadzwyczajnej świetności strojów nie było się można domyślić klęsk wojny, jaka kraj z Saksonią połączony dotykała, ani wyczerpania skarbu: król miał strój brylantami okryty, ogromne guzy dyamentowe, szpadę z wysadzaną nimi rękojeścią, trzewiki nawet ze sprzączkami lśnącymi dyamentów rosą... Majestatyczna jego postać, jakby odmlodzona, promieniejąca, więcejby przystała zwycięzcy, niż zmuszonemu do walki o koronę z nieprzyjacielem zawziętym.

Na sukniach pań błyszczały także mnogie klejnoty, a wiele z tych piękności wcale ich nie potrzebowały. Królowa ukazała się nareszcie, ubrana dosyć skromnie; August z galanterią i poszanowaniem na spotkanie jej pośpieszył. Muzyka zabrzmiała fanfara. Głównych aktorek dotąd nie było...

Już pan zaczynał brew olimpijską marszczyć i oglądał się na Fürstemberga tym wzrokiem, którego wyraz był mu dobrze zrozumiały, gdy u drzwi wchodowych, po-

mimo poszanowania dla osoby króla, dał się słyszeć szmer tłumiony... Ludzie rozstępywać się zaczęli, oczy wszystkich zwróciły się w tę stronę... Fürstemberg szepnął:

— Idą!

Jakoż po chwili ujrzano bladą, żółtą twarz hrabiego Hoyma, który wiódł pod rękę żonę.

Nigdy może na tym dworze, nawykłym do oglądania piękności, bardziej olśniewająca postać się nie ukazała.

Hrabina Hoymowa wśród tych wielkich pań szła z majestatem królowej na czołe, nieulekniona, spokojna, poważna, piękna tak, iż z ust wszystkich jeden cichy okrzyk podziwienia wyrwała. Król trzymał w nią od wnijsia wlepione oczy... ale się z jej wzrokiem nie spotkał... Mając być przedstawioną królowej, dała się wieść ku niej, nie zdając wcale być przejętą blaskiem tego dworu, ani apolińską pięknnością króla, który widocznie stanął tak, aby się z jak największym wdziękiem pani przybyłej przedstawił. Zniecierpliwienie drgnięciem odmalowało się na pańskiej twarzy.

Hoym, jak skazany na śmierć winowajca, wiódł żonę. Nieprzyjaciele jego i akcyzy napawali się męczarnią wcale nietajoną i dobitnie odgrywającą się w twarzy wypaczanej co chwila inaczej. Królowa podniosła oczy łagodne na Hoymową, popatrzyła na nią i uśmiechnęła się jej wdzięcznie, ale z litością, jakby nad losem tej piękności. Westchnienie nawet wyrwało się z jej piersi.

Zaledwie pierwsze te formalności dopełnione zostały, muzyka zabrzmiała polskiego i król z żoną tańce rozpoczął.

Księżnej Teschen nie było jeszcze. Z innych pań

nie brakło żadnej i chora nawet panna Hülchen, owa Egerya Augusta, przemogła ból, aby nasycić ciekawość.

Pierwszy taniec się kończył, gdy nowy szmer u drzwi coś niezwykłego zapowiadał: rozstąpili się widzowie... król zwrócił oczy... w progu stała, jakby wahając się, czy ma wejść, księżna Teschen.

Ubrana była cała w czerni żałobnej. August, ujrzawszy ją, zniecierpliwiony nieco, pośpieszył na spotkanie.

— Kogoż to księżna straciłaś? — zapytał szydersko — że się nam zjawiasz w tych szatach tak do zabawy niestosownych?

— Ciebie, Najjaśniejszy Panie — cicho odpowiedziała Urszula — i to nie od dziś dnia...

Oczy ciekawych, zrazu zwrócone na księżnę, wpędce ku Hoymowej znowu się skierowały. Kobiety nawet przyznawały zgodnie, zaprzeczać temu niepodobna było, iż hrabina Anna wszystkie przechodziła blaskiem posągowej piękności swej. Czarne jej oczy ciskały wprawdzie pioruny i błyskawice i groźnie przyświecały sali balowej; lecz obok nich ginęły wszystkie inne, jak gwiazdy przy słońcu.

August zdawał się napawać widokiem ślicznej niewiasty. W chwili, gdy hrabina Vitzthum oderwała ją od brata, zbliżył się król do Hoyma i uderzył go poufale po ramieniu, dając znak Fürstembergowi, aby podszedł ku nim.

— Kochany hrabio — rzekł — sprawa wasza z księciem rozsądzona... wygralesz tysiąc dukatów, Fürstemberg jutro ci je zapłacić powinien. Winszuję więc wygranej i żony: jest ona niezaprzeczenie najpiękniejszą na

naszym dworze. Vox populi mój wyrok potwierdzi pewnie... szczęśliwy Hoymie!

Patrzac jednak na Hoyma przyjmującego, z głową spuszczoną, w pokorze, to powinszowanie, trudno się było domyślić, by mógł być tak bardzo szczęśliwym. Przedstawiał on raczej obraz upokorzonego, zgnębionego, własną winę odpokutowującego człowieka, który z bólu ryknąć nie śmie i wstrzymuje go w sobie. Fürstemberg skłonił się w pokorze, szydersko spoglądając na króla.

— Widzę, Najjaśniejszy Panie — szepnął niedosłyszonym głosem — że wyrok królewski i skrzyypki za pana mego zapłacić muszę.

August zwrócił się doń, podając mu dłoń do pocałowania.

— Nie skarż się, Fürstemberg, płac tysiąc, a weź ze skarbu dziesięć za to, żeś mi nastreczył widzenie takiego arcydzieła natury... — rzekł król.

Księżna Teschen siedziała osamotniona, odbiegli ją już wszyscy; postrzegł to August i wedle zwyczaju, by osłodzić każdemu upadek, lub przez resztkę przywiązania do niej, skierował się ku księżnie. Wielkie było zdumienie nieobeznanych z obyczajami dworu, gdy ujrzeli najjaśniejszego pana idącego w tę stronę. Wprawniejsze oko hrabiny Reuss i panny Hülchen, dojrzawszy ten manewr, umiało z niego wniosek wyciągnąć.

— Teschen upadła! — rzekła hrabina cicho do towarzyszek — król poszedł ku niej...

Starzy dworzanie króla, którzy widzieli go w przededniu nielaski Beichlinga ściskającego kanclerza, zrozumieli także, co ta czułość dla księżnej Teschen znaczyć

miała. August okazywał jej więcej, niż kiedykolwiek, przywiązania i szacunku.

— Wiesz pani — rzekł, przyglądając się jej czarnym sukniom i kwefom — jesteś dziś tak piękną mimo tego stroju, iż mi przypominasz ów turniej warszawski, gdym cię widział zemdloną z trwogi o mnie...

— Ale Hoymowa! Hoymowa jest piękniejszą ode mnie, od turnieju, od wspomnienia i omdlenia. Nieprawdaż? — ozwała się księżna ironicznie.

— Hoymowa może być sobie piękną, jak chce, i najpiękniejszą — odparł August — są rzeczy od piękności piękniejsze: to piersi, w których czule biją serca... Kochana księżno... nie rób z siebie widowiska... wróć do domu, włóż suknię niebieską, w której ci tak do twarzy, i czekaj na mnie z wieczera.

Na lice blade księżnej Urszuli wystąpił rumieniec żywy.

— Królu mój! panie mój! — zawołała, zapominając się — miałażby to być prawda? August moimby pozostał...

— Proszę cię, nie wąż o mnie — dodał poważniej król — naczóby miał kłamać?

W istocie król nie kłamał tym razem, piękność pani Hoymowej zrobiła na nim wrażenie wielkie, lecz zarazem napelniła jakąś trwogą. Charakter energiczny tej kobiety malował się w każdym jej ruchu, wejrzeniu, skinieniu; czuł on, że przy niej część swej potęgi u nóg Omfali złożyłby musiał. Twarz Anny mówiła: muszę królować; twarz Urszuli: kochałam cię, panie, i mrę z żalości... Hoymowa wydała mu się nazbyt poważną i smutną, a wielkich tonów król miał do syta. Dlatego po-

śpieszył pocieszyć księżnę, bo w żadnym razie nie chciał jej tracić i poddać się przeczuwanemu jarzmu kobiety, która wcale ochoty podbicia go nie okazywała.

Hrabina ubrana była z wielkim smakiem i wytwornością, nie miała wprawdzie klejnotów, lecz przybranie głowy, krój sukni, dobór barw, podnosiły nadzwyczajną jej piękność. Współczesne portrety przedstawiają ją z owalem twarzy nader kształtnym, noskiem małym, drobnemi usty, oczyma wielkimi, czarnymi i niezmiernie wyrazistymi, z rysami delikatnymi, z bujnymi czarnymi warkoczami. Ręce, popiersie, kibić, odpowiadały twarzy, po której błądź i rumieńce żywe zmieniały się, wchodząc i znikając w mgnieniu oka.

Wystawiona na wejrzenia kilkuset osób, Anna Hoym, wcale niemi nie była zmieszana; w pierwszej chwili milcząca i poważna, oswoiła się wnet z dworem tym i blaskiem, który się jej wydał rzeczą powszednią. Wprawdzie książęcy dwór, na którym młodość spędziła, nie dorównywał świetnością drezdeńskiemu, lecz formy w obu znalazła też same.

Księżna Teschen usłuchała natychmiast rozkazu króla, tryumfująca niemal znowu, i, rzuciwszy okiem omdlałym ku niemu, wysunęła się z sali. Po małej chwili August stał u krzesła hrabiny Hoymowej. Jakiś czas wpatrywał się w nią milczący. Anna, spostrzegłszy go, powstała. Żądał, aby usiadła... usłuchała go, nie przesadzając w poszanowaniu.

Było obyczajem dworu, że, gdy król okazał do rozmowy ochotę, wszyscy się nieco ustępowali, aby mu swą ciekawością nie byli natrętni, i tym razem odeszli wszyscy, a hrabia Hoym także, pociągnięty zlekka przez

Vitzthuma, który właśnie tę chwilę dobrał, aby z nim o czemś ważnem się rozprawić, odejść musiał.

— Hrabino, jesteś pierwszy raz na moim dworze — ozwał się król, grzecznie pochylając ku niej — lecz jej ukazanie się prawdziwym dla niej jest tryumfem. Cieszę się tą nową gwiazdą na mojem niebie.

Anna podniosła głowę dumnie.

— Najjaśniejszy Panie! wśród ciemnej nocy lada ogień czasem wyda się gwiazdą, lecz po chwili zagasa. Umie ocenić łaskę Waszej Królewskiej Mości, lecz tylko łasce przypisuję te wyrazy.

— Powtarzam tylko, co dokoła słyszę! — odparł August.

— A! Najjaśniejszy Panie — śmiejąc się, dodała Anna — ludzie zwykle, widząc po raz pierwszy, źle widzą. Nowość bawi... to tylko prawdziwie piękne, co po latach wielu jeszcze się tak, jak pierwszego dnia, wydaje.

Królowi zdało się, iż piękna pani przymawiała mu, przypominając grzeczność okazaną księżnie Teschen; zamilkł chwilę.

— Pani jesteś nazbyt skromną — rzekł.

— O! nie, Najjaśniejszy Panie — żywo przerwała Anna — do piękności nie przywiązuję wagi.

— Ale piękność twarzy zwiastuje też piękną duszę — rzekł August.

Anna spuściła oczy. Król jej nie odstępował.

— Po długiej samotności, którą Hoym ten niegodziwy męczył panią, kryjąc swój skarb — mówił po chwili August — dwór się jej dziwnie wydawać musi.

— Bynajmniej — zawołała Anna — młodość moja spędziłam na mniejszym wprawdzie, lecz dającym zmniejsz-

szony obraz tego, jaki każdy dwór przedstawia; wszystkie one, Najjaśniejszy Panie, są jednym.

— Czem? — spytał król.

— Doskonale grana komedia — odpowiedziała Hoymowa.

— A ja jakąż w niej gram rolę?

Z uśmiechem ironicznym popatrzyła nań chwilę.

— Być może dyrektora trupy, którego wszyscy oszukują i odzierają.

August, zdziwiony nieco, półuśmiechem odpowiedział:

— Znajdujesz pani, że tu jest wszystko udaniem?

— Jakżeby mogło być inaczej? — westchnęła Anna — królowie prawdy nie słyszą...

— Być może — mówił August — i dlatego szukają często i serca i ust, coby im spragnionym choć kroplę tego nektaru dać mogły.

— A znajdując — dokończyła Anna — tylko może usta, co zrećniej nad inne umieją saczyć truciznę.

— To mi dowodzi — odezwał się król grzecznie — iż pani nie lubisz ani dworów wielkich, ani życia na nich... i smuci mnie bardzo, bom sobie wiele obiecywał, zatrzymując ją wśród nas, byś blaskiem swych oczu trochę posepne dni naszych niebo wyjaśniła.

— Najjaśniejszy Panie — odparła żywo Anna — byłabym tu fałszywą nutą: nie umiem tak śpiewać, jak drudzy; głos mój zawsze jeden, a tu co chwila ton inny.

Dla przerwania tego toku rozmowy, król wesoło począł robić różne uwagi nad otaczającymi paniami i panami. Anna postrzegła z nich, iż August lepiej daleko znał charaktery, skłonności i tajemnice życia otaczających go ludzi, niż się spodziewać mogła.

— Widzisz pani — dodał, kończąc — że ta komedia dworska dla mnie nie ma pono tajemnic i to mi ją czyni może tylko zabawną, iż się tym ludziom zdaje, że oszukują, że mną kierują, że mnie oślepić mogą.

— Tak bogowie patrzą na ziemię — zakończyła Hoymowa.

Król z bogów zdawał się zadowolony. Pierwszy raz, gdy to mówiła, wzrok jej spotkał się ze wzrokiem Augusta, wyrażającym bez ogródki uwielbienie i zapal. W oczach Anny malowała się tylko zimna ciekawość i obawa.

Po tej rozmowie król odszedł zwolna. Badano go zdaleka, Fürstemberg pierwszy się znalazł na drodze.

— Najjaśniejszy Panie, jeśli śmiem spytać teraz, czy najpiękniejsza jest także...

— Najdowcipniejszą — dokończył król. — Hoymowi powiedzieć trzeba, ażeby się nie ważył żony z Drezna zabierać. Nadzwyczaj miła... trochę jeszcze dzika, ale to przejdzie z czasem.

Hoym spoglądał zdaleka... Jemu najtrudniej było odgadnąć myśli Anny, do której teraz z pośpiechem nadbiegły: hrabina Reuss, panna Hülchen i Vitzthumowa, otaczając ją kołem.

Król spostrzegł to dworowanie i ruszył ramionami.

— Już się klaniają wschodzącemu słońcu — szepnął do Fürstemberga — lecz boję się bardzo, żeby się nie zawiodły intrygantki.

Fürstchen spojrział zdziwiony.

— I ty się mylisz i one się mylą — rzekł August spokojnie, nachylając się mu do ucha. — Hoymowa śliczna jest, od stóp do głowy ją egzaminowałem: posąg grecki ożywiony... ale nadto energiczna i bystra i zbytby pa-

nować chciała. Kilka dni milego z nią stosunku, to dosyć... nie dobijam się o nic więcej. Piękność mnie nęci, charakter przeraża.

Fürstemberg stanął mocno zdziwiony, król poszedł dalej.

W czasie tych scen nikt nie zwracał uwagi na głowę bladą młodego człowieka, która górowała we drzwiach ponad ściśniętym tłumem. Oczy jej niespokojne chodziły za każdym krokiem Anny, a gdy król zbliżał się do niej, zapalały się ogniem strasznym i drgały w powiekach. Hoymowa kilka razy wzrokiem potoczyła po sali i nie dostrzegła tego nieszczęśliwego w tłumie, co ją otaczał. Dopiero po odejściu króla, odetchnawszy nieco swobodniej, zadumana, przyglądając się ludziom, co ją otaczali, przypadkiem dojrzała... Zaklikę. Poznała go.

Wzrok jej zatrzymał się na twarzy bladej długo. Pobladła sama, zmieszana nieco. Niepewna sama, czy się nie myli, spojrzała znowu... znalazła oczy wlepione jeszcze w siebie... Nie było wątpliwości, milczący jej wielbiciel z Laubegastu przywłókł się aż tu za nią. W wyrazie jego twarzy zdawała się czytać politowanie, smutek, trwogę.

Ta głowa nieznanego niepokoiła ją sobą... co chwila biegła oczyma szukać jej, pragnąc, ażeby znikła, i z najostrzejszą jak kamienną, jak do muru przyrosłą, jakby trupią, zawieszoną u góry z tym wyrazem litości i strachu. Dlaczego biedne to oblicze jakiegoś włóczęgi więcej ją zajęło, niż jaśniejące królewskie, niż nadskakujące jej dworacze, na to sobie sama odpowiedzieć nie umiała. Czuła, że jakiś tajemniczy węzeł przeznaczeń dziwnych łączył ją nicią niewidoczną z tą istotą innego świata...

Był-li to oczekujący godziny wyroku kat, czy chwili

skazania czekająca ofiara, Anna nie wiedziała; lecz mówił jej głos jakiś wewnętrzny, niepozbyty, dręczący, że między tym nieznanym a nią snuje się przeznaczeń jakichś przyszłych przepowiednia. Jak groźba, jak widmo, tkwiła nad nią ta blada głowa, w której oczy lyskały i gasły; stawiała się coraz straszniejszą, coraz bardziej przerażającą, ilekroć wzrok jej utkwiony w siebie spotkała, dreszcz po niej przebiegał.

Śmiała się z siebie, a echo duszy odpowiadało jej jękiem.

W takim usposobieniu zastał ją kwaśny i żółkły Hoym, który rękę podawał do wyjścia. Lecz chciał, by się właśnie skierowali ku tym drzwiom i tłumowi, ponad którym widziała owo widmo dokuczliwe... Ludzie się rozstępowali przed niemi. W chwili, gdy przechodzili próg, spojrzała z trwogą i obok siebie postrzegła przylgniętego do ściany... nieznanego z Laubegastu. Otarła się prawie o niego z obawą i poglądając na niego; chłopak, spotkawszy jej oczy, przypadł, jakby nieumyślnie, na jedno kolano; czuła, jak chwycił kraj sukni jej i do ust przycisnął. Gdy się zwróciła w tę stronę, już go nie było.

Przed nią stała hrabina Reuss i prosiła Hoymów na wieczercę do siebie tak uprzejmie, że minister nie umiał odmówić.

Fürstemberg stał za nią. Pojechali więc z balu wprost do hrabiny, gdzie w małym kółku zwykle najdostojniejsi panowie godzinę jakąś spędzali. Tu królowała owa słynna Egerya Hülchen, dojrzałych lat panna, której król słuchać lubił i rad jej zasięgał; tu się gromadzili ci, co pragnęli władzy lub chcieli się przy niej utrzymać. Król

August śmiał się z tej kliki, ale niewidzianemi sprężynami władała ona nim i dworem.

Hrabina Reuss, z domu Friesen, należała do głównych postaci działających u dworu Augusta II. W jej domu odbywały się najważniejsze narady, dotyczące się obalenia jednych a podniesienia drugich faworytów pana: tu przepowiadano nieochybne łaski, jakie miały spotkać piękne panie, i przeczuwano najtrafniej chwilę, gdy niestały król afekty swe w inną stronę miał obrócić.

Hoym świadomym był dobrze tego, iż hrabina Reuss, przeczuwając nową faworytę, zawsze zabiegała naprzód, by jej względy i zaufanie pozyskać; raziło go więc nadskakiwanie hrabiny widoczne, każące się domyślać, iż w Annie widziała następczynię księżnej Teschen: okazać jednak gniewu i to, że grę zrozumiał, ani mógł, ani chciał. Pani Reuss przez pannę Hülchen i swe stosunki miała wpływ ogromny na dworze, narazić ją sobie, było to zyskać nieprzyjaciela niebezpiecznego. Udał więc Hoym, iż nic nie widzi, nie domyśla się niczego, i poszedł na wieczór do Reussowej.

Tu towarzystwo w saloniku było ożywione, ale w przyległym gabinecie dopiero, do którego wsuwały się i wysuwały pani domu, jej przyjaciółka, Fürstemberg, i inne zaufane osoby, cicho mówiono o interesach. Większe kółko rozprawiało o gałgankach, strojach i plotkach, które dla nikogo nie były tajemnicą. Zdaniem powszechnem, czułość króla dla Teschen zwiastowała pewne z nią rozstanie. Z wielu względów jednak musiał August II ją oszczędzać. Wiadome były jej stosunki z Sobieskimi, pokrewieństwo z Radziejowskim i wpływy, jakie w Polsce miała, a tych właśnie król najmocniej potrzebował.

W gabinecie Reussowa spytała przyjaciela Fürstemberga o rozmowę z królem, o wrażenie, jakie na nim uczyniła Hoymowa.

— Znam dobrze mego pana — odezwał się Fürstemberg — a szczególnie jego usposobienia dla kobiet. Hoymowa dumnie mu i ostro się zaprezentowała, trochę go to odstręczyło chwilowo, ale piękność jej przemawia do jego zmysłów, a zmysły zawsze nad nim biorą prędszej czy później przewagę; lęka się jej i tem goręcej pragnąć będzie... a czego chce, to mieć musi. Hoymowa nie zdaje się skłonna do odegrania roli łatwej kochanki; wypotrzebuje swą siłę, gdy ją zdobędzie: niema wątpliwości, iż król się podda.

— Sądziysz więc, że jej panowanie nadchodzi?...

— O ile go znam, myślałbym, iż się ono zbliża; król w tej chwili pragnąłby fantazję zaspokoić, ale w związku trwale nie wchodzić: od niej zależeć będzie, jak swą sprawę poprowadzi.

— Domyślasz się książę jej charakteru?

— Tylko przeczuwać go można — rzekł Fürstemberg — sędzę, że ani mąż, ani najbliżsi jej nie znają, a może nawet ona sama siebie taką, jaką będzie, gdy okoliczności ją wyniosą... Dziś jest to kobieta dumna, szlachetna, charakter energiczny... dowcip żywy... zdolności wielkie.

— Ale daż ona wpływać na siebie i kierować? — spytała Reussowa.

Książę się zamyślił.

— Wiem tylko — rzekł — że z roztępnemi wolę mieć

do czynienia, niż z temi; co nie wiedzą, co czynią. Droge jednych można przewidzieć, drudzy lecą bezdrożami i — szukać ich a gonić — trudno!

Stali jakiś czas milczący, Reuss dała mu znak, aby wyszedł; zadumana przeszła się kilka razy po gabinecie i wróciła do salonu. Tu manewrowała tak, iż się zbliżyła do Anny, że ją wyciągnęła z kółka, wprowadziła nareszcie do gabinetu i posadziła przy sobie.

— Kochana hrabino Anno! — rzekła poważnie, kładąc jej rękę na kolanach — jeśli masz cierpliwość i pobłażanie dla starej przyjaciółki, posłuchaj mnie i pozwól mi mówić otwarcie. Nikt tu nas nie słyszy, jesteśmy same, chcę ci być radą i pomocą. Dosyć znasz i dwór i czasy i siebie, ażebyś się domyśliła, że nie darmo chciano twego przybycia do Drezna. Król jest znudzony tą Teschen, a musi się w kimś kochać: to jest jego naturą... bądźmy pobłażający dla tak wielkiego i dobrego pana, któremu świat tę jego słabość wybacza; źle czy dobrze, ale tak jest i inaczej być nie może. Nam, co króla otaczamy, pozostało jedno: ze złego tego tyle, ile można dobra i korzyści dla wszystkich wyciągnąć. Możesz zająć najświetniejsze stanowisko przy królu, to nie ulega wątpliwości... ale trzeba się śpieszyć i wiedzieć, co czynić.

— Kochana hrabino — rzekła Anna — ambicyi nie mam, w bogactwach się nie kocham: mam męża i pragnę zostać uczciwą kobietą.

— Niebym przeciwko temu do zarzucenia nie miała — uśmiechając się, mówiła Reuss — ale pozwól sobie powiedzieć, iż nie widzę przyczyny, dla którejbyś męcen-

nią zostać miała. Hoym jest niemiły, zużyty rozpustnik, który ci wiary nie dotrzymuje; kochać go niepodobienstwo; prędzej czy później odezwie się serce.

— Słumię głos jego.

— Raz i drugi, ale przyjdą lata tęsknoty i znużenia... rzucisz się w objęcia czyjeś z rozpacz i nie będziesz szczęśliwą. Znam świat, to zwykła kolej nasza; król jest miły i piękny: życie z nim może być rajem.

— Ale król jest płochy i niestały, a takich związków, takiej miłości chwilowej, kaprysu nie pojmuję; brzydzę się nią, odpycham! To nie dla mnie.

— Słowo, kochana hrabino — rzekła Reussowa — związki te zawsze się obiecują być trwałe, kobiety są sobie winne same, jeśli się one zrywają. Napróżnobyś go usiłowała związać choćby przysięgą, bo z niej go rozwiąże jego sumienie lub pierwszy lepszy księżyna. Rękojmię trwania da ci twój własny rozum, takt i wdzięki. Męża i kochanka trzeba umieć utrzymać u nóg i związać: to nasza rzecz.

Hoymowa ruszyła ramionami.

— Biedna to miłość, którą na paskach i wędzidlach trzymać trzeba — zawołała — takiej nie chcę. Szczerłość za szczerłość, kochana hrabino — rzekła cichszym głosem — mnie nic nie potrafi ująć, tylko serce. Nie zaręczam za siebie, choć pragnę zostać Hoymowi wierną, ale tylko miłością pozyskaćby mnie można... W chwili, gdy pokocham, porzucę Hoyma i jawnie stanę przy umiłowanym; a ten, co mnie kochać będzie, musi być mężem moim.

— Ależ król! król!

VI.

Adolf Magnus Hoym, zajmujący naówczas miejsce odpowiadające dzisiejszemu ministrowi skarbu, nie miał przyjaciół ani u dworu, ni w kraju. Nienawidzono go szczególnie za wprowadzenie, po tylu innych uciążliwych, najuciążliwszego podatku akcyzy. Sasi bronili się, o ile mogli i umieli, opierali się królowi, a król, któremu nigdy nie starczyło na nieobrachowane jego wydatki, ukrywał źle gniew, jaki wzbudzał w nim ten opór. Doradzano mu szlachtę, która się najtrudniejszą do pokonania okazywała, pozbawić reszty praw i otoczyć się obcymi, którzyby żadnych z nią stosunków i z krajem nie mieli.

Rady tej w części już usłuchał August II i większa część jego ministrów i ulubieńców wzięta była z obcych krajów. Włosi, Francuzi, Niemcy z innych prowincyi grali tu główne role. Hoym, człowiek zimny, nieubłagany, zręczny w wyszukiwaniu coraz nowych dochodów dla króla, który to na Polskę, na wojsko, to na uczty i na ulubienice miliony tracił, z powodu zręczności tej w wyściskaniu grosza był w wielkich łaskach. Ale im nie do-

wierzał, bo przykład Beichlinga i kilka innych czynił go ostrożnym; wypatrywał tylko chwili, gdy będzie mógł, naładowawszy kieszenie, z głową i majątkiem uciec z pod panowania saskiego. Hoyma mało kto znał zblizka. Wiedzano, że był gwałtowny, zwinny, chciwy, rozwiązy i pojętny, że nie przywiązywał się ani stale, ani gorąco do nikogo. Najlepiej ze wszystkich znała go może siostra hrabina Vitzthum, która z wielką ostrożnością władała nim i kierowała, i dobywała z niego, co jej było potrzeba.

Oprócz Beichlinga, dziś zamkniętego na Koenigsteinie, przyjaciół nie miał Hoym, miewał tylko sprzymierzeńców. Nienawidził go marszałek Pflug, nie cierpieł inni, Fürstemberg był z nim źle także.

Gdy po zakładzie kazano Hoymowi żonę przywieźć i pokazać ją na dworze, nie ulitował się nikt nad nim, nie pożałował go żaden: śmiano się raczej i przedrwiwano.

Nazajutrz po balu Hoym musiał być u króla ze sprawozdaniem. Akcyza wprowadzona znajdowała opór na prowincyi. Szczególniej na Łużycach coś się tam szlachta głośno przeciwko niej opowiadała. Król żadnego oporu nie znosił. Po raporcie Hoyma, namarszczony August Mocny rzekł do ministra:

— Jedź mi dziś jeszcze, natychmiast. Każ krnąbrnych rozpędzić, dośledź tych, co stoją na czele i w moim imieniu zrób porządek. Jedziesz natychmiast, bez żadnej wymówki.

Hoym, dla którego osobista jego bytność na Łużycach nie zdawała się ani potrzebną tak dalece, ani nawet pożyteczną, chciał zrazu króla przekonać, iż mógłby się

kimś wyreczyć i nie ruszać z Drezna, gdzie ważniejsze wstrzymywały go zajęcia.

— Niema ważniejszego nie nad złamanie oporu tych pyszałków, którym się zdało, że ja z nimi w układy wchodzić mogę... Jedź waćpan natychmiast, weź dragonów z sobą... Jeśli się poważą zgromadzać, rozpędzić sejmiki... Powiedz im, by się nie zapatrywali na szlachtę polską, bo ja tego u moich poddanych nie ścierpię, a i w Polsce damy rady wkrótce szlacheckiej bucie.

Hoym jeszcze chciał się tłumaczyć, lecz August nie słuchał, powtórzył po kilkakroć:

— Jedź natychmiast! natychmiast! Wreszcie—popatrzał na zegar—za dwie godziny powinieneś waćpan być na drodze do Budyszyna... chcę tego i tak będzie.

Z królem rozmawiać wolno tylko po pijanemu; naówczas, kto się nie lękał, aby go udusił, ścisnął go, całował, a inni i popychali. August śmiał się. Na trzeźwo miał jedną wolę i jedno słowo tylko.

Hoymowi ta wyprawa na Łużyce, nazajutrz po balu, nadzwyczaj była podejrzana; znając króla, dwór i to, co się tu działo, był pewnym, że wypędzano go umyślnie, aby do jakiejś intrygi nie zawadzał, by dać królowi swobodę w zbliżeniu się do jego żony. Cóż na to mógł poradzić? nic. Powierzyć siostrze dozór, było to pijakowi dać klucz od piwnicy... przyjaciela nie miał, stał bezbronny... Czuł, że wszyscy spiknięci byli na niego. Przybywszy do pałacu, rzucił papiery o stół... rwał jakiś czas perukę na głowie i rękawy sukni; otworzył drzwi z trzaskiem i pobiegł, jak opętany, do nowego żony apartamentu.

Była sama. Ciekawem okiem zmierzył pokoje, ją, najdrobniejsze otaczające przedmioty. Złość malowała się

na bladej jego twarzy. Anna patrzała na niego spokojnie, będąc nawykłą do scen podobnych.

— Ciesz-że się, pani! — zawołał — byłem tak głupi, żem ją tu sprowadził, teraz robia ze mną, co chcą... Zawadzam im do intryg, król mnie odprawia precz; muszę jechać za godzinę. Zostaniesz pani samą...

— I cóż to ma znaczyć? — pogardliwie odpowiedziała Hoymowa — czy straży waćpana potrzebuję dla upilnowania mojego honoru?

— Myślę jednak, że mógłbym się przydać tu na coś, choćby dla powstrzymania zuchwalstwa ich i bezwstydu — krzyknął Hoym, stukając o stół pięścią. — Nie wyprawiliby mnie, gdybym im nie zawadzał. W tem wszystkim czuję palce kochanego Fürstemberga, który mi dziś, śmiejąc się szydersko, tysiąc dukatów zapłacił, a wiem, że od króla dostał dziesięć za tę piękną myśl sprowadzenia tu mej jejmości.

— Hoym! — krzyknęła, podnosząc się, Anna, której oczy zaiskrzyły się — dosyć tych obelg, idź... jedź... rób, co chcesz... zostaw mnie w pokoju. Sama się obronić potrafię... Dość tego, powiadam ci: dosyć mi tego.

Hoym zamilkł, ponurym wyrazem osnuła się twarz jego, zegar przypomniał mu nadchodzącą odjazdu godzinę.

— Nie potrzebuję panią ostrzegać — zawołał — wiesz, co ją tu czekać może, dodam tylko, że bezcześci nie zniosę... Wolno Vitzthumowi i innym pobłażać, ja nie mam ich dobroduszości.

— Ani ja-m tak nisko upadła, panie Hoym — przerwała Anna — jak te panie... Zdradzać nie będę, bobym siebie poniżyła: jeśli życie jeszcze mi nieznośniejsem uczynisz, porzucę cię jawnie i głośno...

Hoym nie odezwał się więcej. Zdawał się u progu wahać jeszcze, chciał mówić, szarpał znowu perukę, ale tuż pukano do drzwi. Królewski posłaniec przypominał mu godzinę odjazdu.

Z zamku śledzono chwilę, gdy Hoym będzie przez most przejeżdżał. Posłano za nim, aby pokryjому nie ważył się wracać. Wedle ułożonego planu hrabina Reuss miała zaprosić do siebie Annę; król mógł tam przybyć niespodzianie, incognito... Vitzthumowa została zaraz wyprawiona potajemnie dla spełnienia tej misyi, ale Anna odmówiła stanowczo. Napróżno zapewniano ją, że nikt w świecie o jej bytności wiedzieć nie będzie; domyślała się już ułożonego z królem spotkania i wręcz wypowiedziała to siostrze mężowskiej.

— Jesteś nadto domyślna i ostrożna — rozśmiała się Vitzthumowa — ażebym klamać chciała przed tobą; byćby mogło, iż król, ciekawy poznać cię bliżej, a wiedzący o każdym ruchu i kroku, zjawiłby się u Reussowej. A jeżeli dla nakarmienia tej ciekawości przyjedzie tu do ciebie, do pałacu, cóż zrobisz? Królowi drzwi nie zamkniesz, wszystkie się przed nim otworzą. Przyzwoliciej-że to będzie i piękniej, gdy sam na sam z tobą spędzi kilka godzin?... Co na to ludzie powiedzą?

Anna pobladła.

— Ale król nie może być tak... — zabrakło jej wyrazu — tak... natarczywym, król będzie miał wzgląd na sławę moją! To być nie może! toby było...

— Ja ci powiadam, że może być wszystko... że król jest znudzony i ciekawy, i że nie rozumie oporu i odmowy. Kobiety nauczyły go uległością swą despotyzmu... Król tu przyjedzie, jeśli ty u Reussowej nie będziesz...

— Wiesz-że ty o tem? — spytała Anna — skąd?

— Ja nie wiem nic, ale znam mego pana — śmiejąc się dziwnie, szepnęła Vitzthumowa — pamiętam pewien wieczór... własnego życia...

To mówiąc, westchnęła.

Anna załamała ręce.

— A więc tu jak na gościńcu od rozbójników zbrojnym być trzeba?... Znajdę sztylet i pistolety... ani zela, ani prochu nie lękam się...

Rozdrażnioną wielce Vitzthumowa starała się uspokoić i w śmiech wszystkie strachy obrócić.

— Powinnaś wiedzieć to — rzekła — że August nigdy w życiu żadną przemocą względem kobiety się nie splamiał. To nie jest w jego charakterze... uprzejmy, grzeczny, natarczywy, zbyt jest pięknym i miłym, by się do takich środków miał uciekać.

Po długiej rozmowie Vitzthumowa zdołała ją nakłonić, aby razem wieczorem do Reussowej jechały. Z tą tryumfalną wiadomością pobiegła do domu i do przyjaciółki. Fürstemberg ją zaniósł do zamku.

Król zapowiedział, że na chwilę pojedzie do księżnej Teschen, a, powracając, ekipaże do zamku odeśle z pochodniami, sam zaś lektyką, którą Fürstemberg miał kazać nagotować, incognito zanieść się każe do hrabiny Reuss.

Nim opiszemy dalszy przebieg tej wielce, w najważniejszych szczegółach nawet, prawdziwej historii, musimy skreślić czytelnikowi równie wierny wizerunek bohaterki naszej, Anny hrabiny Hoymowej.

Była sierotą, samą na świecie, wyszła za mąż zmuszona a przynajmniej niechętna. Pożycie z mężem wpred-

ce stało się nieznośnem, młodość w części już spłynęła męczeńsko. Każdą inną w jej miejscu radaby była skorzystała z następczącej się swobody, świetnego losu choćby nietrwalego, który potem zapewniał wdowieństwo w dostatkach, a może nawet małżeństwo inne i blaskiem pokrywające obłęd chwilowy; ale Anna wychowana była w surowych niegdyś zasadach, oburzało ją lekkomyślne postępowanie tych kobiet, które godziły się na to, by znudzonemu panu za zabawkę służyły. Pojmowała i przypuszczała rozstanie się z nieznośnym Hoymem, bo do niego czuła tylko wstręt i nienawiść, ale nie rozumiała go inaczej, jak skutkiem miłości króla i dla króla i... wiekuistego z nim ślubu...

Ta myśl, gdyby ją była wypowiedziała komu, obudziłaby śmiech tylko. Chcieć zakuć w wiekuiste kajdany człowieka tak płochego jak August, zdawało się czystem niepodobieństwem. Anna, widząc go rozdzielonym z żoną, rozumiała, że to jest możliwe.

Król był pięknym, starał się być miłym, po Hoymie mógł się jej podobać bardzo; blask korony i potęgi dodawał mu uroku, nie dziw też, że Anna miała dla niego sympatyę, że jej serce uderzyło. Pomimo, iż czuła, że z nim-by być mogła szczęśliwą, nie przypuściła na chwilę, aby to szczęście inaczej jak małżeństwem i przysięgą urzeczywistnić się mogło.

W tych kilkunastu godzinach, jakie od balu upłynęły, wśród wyraźnego zewsząd nacisku intryg, mających na celu zbliżenie jej do Augusta, Anna rozmyślała, zastanawiała się, wahała i powiedziała sobie:

— Mogę być jego, lecz muszę być królową.

Opór jej Vitzthumowej był raczej już obrachowanym,

niż istotnym. Chciała umyślnie drożyć się z sobą, aby się stać drogą, mając niezmiennie postanowienie raczej zerwać wszystko, niż stać się igraszką intrygi. Czuła się silniejszą nad nią, zwierciadło pokazywało jej urodę i krasę młodości, w oczach króla czytała wrażenie, jakie na nim uczyniła, postanowiła korzystać z tego.

— Nie spodzę się nigdy! — wołała sama do siebie — raczej zostanę nieszczęśliwą Hoymową, niż Augusta kochanką: będę jego żoną lub mu obcą.

W tem wszystkiem było już poddanie się losowi, chodziło tylko o warunki... Nikt jednak naówczas ani mógł przypuszczać, że Hoymowa w duchu już przystała na zerwanie z mężem, rachowano na przyszłość tylko.

Młoda kobieta roila... a marzenia są niebezpiecznymi towarzyszami w samotności.

Niekiedy, rumieniąc się sama przed sobą, przyznawać musiała, że ten tak krótki pobyt na dworze już ją zmienił i wywarł na nią wpływ zgubny.

Duma i chęć panowania budziły się w niej zwolna i duszę, skłonną do poddania się im, opanowywały.

Gdy nadszedł wieczór i godzina, w której miała się ukazać na wieczorze u Reussowej, Anna ubrała się jak najstarszanniej, z niewymuszoną ale smakowną elegancją. Moda wieku dozwalała jej cudnych kształtów ręce obnażone do ramion i prześliczny tok karczku, i utoczone marmurowe odsłonić popiersie. Cera nie potrzebowała bielidła ani różu, była świeżości wiosennej, a krew, to ją oblewała purpurą, to śnieżną zostawiała po sobie białość. Czarne, krucze splety włosów, utrefione wdzięcznie, podnosiły jeszcze blask pęci przejrystej i jak atłasy delikatnej. Lecz wszystko to było niczem przy oczach pełnych

ognia i uroku czarodziejskiego. Oczy te, gdy się wpiły w człowieka, mogły go doprowadzić do szału, mówiły więcej, niż ona sama kiedykolwiek usta wymówić mogła. Był w nich ten nieokreślony wdzięk tajemniczości, niezbadany, nęcący, niepokojący, który ciągnie, jak wejrzeń nie bajecznego bazyliuszka, co jednym zabijało błyskiem.

Przejrzawszy się w zwierciadle, Anna znalazła się sama tak piękną, iż się swej postaci uśmiechnęła... Ubrana była czarno, a ponsowych wstęg pęki odżywiały strój fantastyczny i malowniczy. Vitzthumowa, która zajęła po nią, ujrzawszy ją z progu pokoju, krzyknęła z podziwu: znalazła ją tak piękną, tak piękną, iż nawet rzucenie pod stopy jej korony nie byłoby jej zdziwiło.

— I ty mówisz — zakrzyknęła, ręce łamiąc — że chcesz w zaciszu przemęczyć się z moim bratem, a stroisz się w takie wdzięki przeciw królowi?

— Już ciż — odparła zimno Anna — żadna kobieta dobrowolnie brzydką się nie czyni.

— Aleś ty mistrzyni wielka i rady do stroju nie potrzebujesz... No, jedźmy...

Ten sam okrzyk i ciche szepty radośne przywitały ją u pani Reuss. Piękność jej, która na balu była już zwycięską, tu wydawała się promieniejącą. Wszystkie te pannie, co się nie wyrzekły pretensyi do wdzięku, poczuły się teraz staremi i zwiędłemi. Anna, o której wiadano, iż ma lat dwadzieścia cztery, wyglądała na ośmnaście. Była to Dyana starożytna z całą swą dumą dziewiczą i surowością leśnego bóstwa, co się zdala od oczu tłumu schowało.

Nikt się tak nie cieszył, jak hrabina Reuss, bo jej widokom odpowiadało to najlepiej. Annę otoczono ko-

lem, zawczasu czeząc ją jak królowę i, starając się jej laski pozyskać. Fürstemberg, poprzedzający króla na chwilę, zobaczywszy Hoymową, osłupiał.

— Znam króla — rzekł — ta kobieta zrobi z nim, co zechce, jeśli się potrafi opierać.

Annę prowadził instynkt i wcale jej uczyć nie było potrzeba.

Po chwili drzwi się otworzyły dyskretnie od gabinetu, król wszedł. Od progu już szukał tej, którą chciał widzieć; ujrzawszy ją, zarumienił się, pobladł, zmieszał i, zapomniawszy o gospodyni, przybiegł ją najprzód przywitać. Na czole jego nie pozostało śladu smutnych przygód ze Szwedami, niewdzięczności polskiej, milionowych strat, zrad i zawodów.

Anna przywitała go zdala ceremonialnie i chłodno, ale strój już sam mówił wiele. Chciała się podobać, to było oczywiste i dawało dobrą nadzieję.

Pomimo doznanego wrażenia, król chciał zachować wszystkie formy grzeczności i względów należnych poci pięknej. Chociaż nie cierpiał hrabiny Reuss, usiadł przy niej na chwilę, rozmawiając bardzo uprzejmie, ale oczu od Anny nie odrywał. Na osobności poszeptał coś z panną Hülchenówną, potem uśmiechnął się do Vitzthumowej, naokół obdarzył wejrzeniami i galanterią wszystkie przytomne panie bez wyjątku. W czasie tego ceremonialnego obchodu pani Vitzthumowa miała czas ująć bratową pod ramię i zaprowadzić ją do gabinetu pod pozorem jakiejś pilnej ciekawej rozmowy. Był to strategiczny manewr dla ułatwienia królowi słodkiego tête à tête, bo jak tylko August ukazał się w progu i zagaił kilku słowy

rozmowę z Hoymową, pani Vitzthumowa poczęła się wysuwać powoli ku salce i znikła.

Drzwi zostały wprawdzie otwarte i podniesiona portiera dozwalała przechadzającym się po salonie paniom oglądać zdala oblicze najjaśniejszego pana, ale nikt nie mógł stąd posłyszeć, co mówili między sobą.

August już dziś wczorajszej obawy zapomniął, widocznie był rozplomieniony.

— Pani jesteś dziś jeszcze piękniejszą a zupełnie inną, niż wczoraj! Pani jesteś czarodziejką... — zawołał, nie hamując się wcale.

Hoymowa się skłoniła.

— Najjaśniejszy Pan tak znanym jesteś ze swej pobłażliwości i grzeczności dla kobiet, iż najpochlebniejszym jego wyrazom trudno uwierzyć — odezwała się Anna.

— Wymagasz pani przysięgi! na wszystkie bóstwa Olimpu przysiądz jestem gotowy... Tak pięknej kobiety nie widziałem w życiu i zdumiewam się nielitości losu, który takiego anioła oddał w ręce mojej obrzydliwej akcyzy.

Anna mimowoli się rozśmiała, pierwszy raz z pod warg różowych wyszedł rząd białych, jak perły, ząbków. Uśmiech ten nadał nowy wyraz całej jej fizygnomii, stała się jeszcze bardziej urocza. Dwa maleńkie dolki, jakby wycalowane, ukazały się na rumianych policzkach i znikły. Twarz, oblana chwilę karminem, bladła zwolna i przechodziła w ton, jakby blaskiem wewnętrznym ogrzany.

Król spojrzał na ręce, a namiętnie lubił piękne ręce całować, i ledwie mógł się powstrzymać od przyciśnięcia

ich do ust. Były to arcydzieła snycerskie. W głowie mu zawracać się poczynalo.

— Gdybym był tyranem — zawołał — Hoymowi-bym wrócić tu nie pozwolił, bom zazdrosny o tego Wulkana.

— Wulkan jest też zazdrosny — odparła Anna.

— A Wenus przecież go kochać nie może?

Milczenie było odpowiedzią. Długo król czekał.

— Jeśli nie miłość, są inne kajdany, co wiążą może silniej nad nią: łańcuchy obowiązku i przysięgi.

Król się uśmiechnął.

— Przysięgi? w miłości?

— Nie, Najjaśniejszy Panie, w małżeństwie.

— Ale są małżeństwa świętokradzkie — rzekł August — a za takie uważam, gdy się piękność łączy z taką nieznosną szpetotą... Bogowie naówczas złamanie przysięg rozgrzesza.

— Ale duma ich skruszać nie dopuszcza.

— Surową pani jesteś.

— Więcej, niż się może zdaje Waszej Królewskiej Mości.

— Przerazasz mię, hrabino!...

— Was, Najjaśniejszy Panie? — uśmiechając się, poczęła Anna. — nie sądziłam, abyś Wasza Królewska Mość miał się tem choć cokolwiek czuć dotkniętym... Cóż ta surowość może pana mego obchodzić?

— Więcej, niż się pani zdaje — podchwycił król, własne jej powtarzając wyrazy.

— Tego zrozumieć nie mogę — szepnęła po cichu Anna.

— Jakto? więc pani nie chcesz widzieć tego, że ja od wczoraj pierwszym jej wejrzeniem zostałem podbity?

— Moja zdobycz — odpowiedziała Anna — zapewne nie potrwa do jutrzeńki. Wasza Królewska Mość dzielisz tę sławę z bogami, że łatwo kochać i zapominać umiesz...

— Nie — zawołał król czule — potwarze to są. Cóżem winien, że nigdy nie trafilem na serce, na umysł, na piękność, coby mnie stale przywiązać mogły. Nie ja niewiernym jestem... mnie zdradzają. Codzień spada z tych bogiń jedna zasłona... codzień gaśnie urok jeden... cud staje się powszedniem zjawiskiem, anioł traci skrzydła, a w sercu, zamiast miłości, znajduję zalotność i chłody... Cóżem winien?... Wierz mi, pani — dodał, unosząc się coraz — ja szukam, do kogobym całe życie mógł należeć, komubym mógł zostać wiernym; gdybym znalazł to serce, tę kobietę... oddałbym się jej cały.

— Trudno temu uwierzyć — szepnęła Anna — a trudniej jeszcze przypuścić żywą taką doskonałość, coby Waszej Królewskiej Mości godną była.

— Wierz mi pani — przerwał August — że ją w tej chwili w was widzę...

— Po dniu białym, niestety, inaczejbym się wydała, a po kilku dniach białych... zgasłby urok nowości... ani mi łaska Waszej Królewskiej Mości zawrócić może biedną głowę, bo się jej czuję niegodną.

— Pani jesteś zachwycającą! — zawołał August, sięgając po jej rękę.

Anna chciała ją cofnąć, lecz etykieta na to nie pozwalała; król, pochwyciwszy białą rękę, pieścił ją i całował tak długo, że nareszcie, z całem poszanowaniem dla Jego Królewskiej Mości, Anna, w płomieniach stojąc,

by z salonu kto nie zobaczył tego zbliżenia ich do siebie, musiała zlekka ją wyrwać.

August wstał cały wzruszony.

— Nie mogę się od pani oderwać — rzekł — będę zapewne musiał w pomoc niedoleżnym zapalom, które, jak widzę, żadnego na niej nie czynią wrażenia, wezwać moją władzę królewską. Niech mi się pani nie waży wyjeżdżać z miasta, aresztuję ją... Co się tyczy Hoyma, tylko wstawienie się jej może jego los osłodzić. Dziś miałbym ochotę...

Nie dokończył. Anna nie myślała się jakoś wstawiać.

Rozmowa byłaby się przeciągnęła nie wiem jak długo, gdyż August był niezmiernie ożywiony, gdyby pani Reuss, niewiadomo z jakiego powodu przyśpieszwszy wieczerze cukrową, nie weszła na nią zaprosić króla, który rękę podał Hoymowej. Był to raczej podwieczorek tylko na sposób włoski, złożony ze słodczy, owoców i wina. Król najpierwszy wychylił za zdrowie żony ministra... Fürstemberg baczna na Najjaśniejszego Pana zwracał uwagę.

— Teschen przepadła! — rzekł na ucho Vitzthumowej.

— I mój brat także! widzę to jasno — szepnęła piękna pani — byle bratowa rozum miała...

— Byle go nie miała nadto... — dodał Fürstemberg.

— Patrz pani, jak wygląda zimną i panią siebie; król z całą usilnością oczarowania nie potrafił jej pono głowy zawrócić, a sam mi się wydaje już nieprzytomnym.

Po tej collazione, od której wstawał każdy, gdy chciał, panie się znowu powysuwały, a August zreźnie bardzo rozmową swą usiłował zatrzymać Hoymową. Zo-

stała, nie wyrrywając się, była wesolą, swobodną, lecz i Fürstemberg i król wiedzieli dobrze, iż była zupełnie panią siebie i że świetny tryumf, jaki odniosła, wcale jej nie upoił. Pierwszy to raz w życiu trafiło się Augustowi spotkać z kobietą, która jego miłości nie uległa tak prędko, jak inne, i wcale nie zdawała się chcieć z niej korzystać.

Ubodło go to mocno.

Przytomność i lodowaty chłód tej kobiety zaczynały go gniewać, ale zarazem rozżarzały powziętą miłość.

W pierwszej chwili zamyślał tylko z panią Hoymową zawiązać kilkodniowy galanteryjny stosunek, któryby pod zasłoną tajemnicy nawet księżnej Teschen nie wyrugował z serca; postrzegał teraz, że z tą piękną panią daleko trudniej przyjdzie, niż zrazu rachował.

Anna śmiała się, żartowała, była bardzo zabawną; widocznie starała się na wszelki sposób króla usidlić, lecz sama stawiała mu się prawie coraz zimniejszą, śmielszą i nieprzystępniejszą. Zamiast postępować, jak zwykle, z Jowiszowem szczęściem przyśpieszonymi kroki do celu, król August widział się coraz dalej od niego.

W końcu rozmowy, gdy się stał natarczywym i, nie osłaniając swego zapалу, dopraszał się kącika w sercu... pięknej pani, zupełnie już z nim oswojona Anna odpowiedziała dobitnie:

— Najjaśniejszy Panie, daruj mi, lecz zmuszasz do niemiłego wyznania. Jestem jedną z tych nieszczęśliwych słabych istot, którym duma służy za całą ich siłę. Jeśli Wasza Królewska Mość sądzisz, iż, olśniona urokiem, którego potęgę uznaję, zapomnę, com sobie winna, że mną chwilowy szal owładnie i dla uroków jego przyszłość zniknie z oczu, mylisz się, Najjaśniejszy Panie: Anna Hoymowa nie będzie nigdy niczyją, nawet królewską ko-

chanką chwilową... Serce moje odda się całe, na zawsze, lub... nigdy...

To mówiąc, wstała od stołu szybko i przeszła do salonu.

Wkrótce potem król z Fürstembergiem wymknął się z mieszkania hrabiny Reuss, która, dostrzegłszy go, wybiegła za nim na schody. Na twarzy Augusta nie było wesołości i nadziei, pochmurny był i smutny. Hrabina Reuss poznała z wyrazu twarzy, jak się rozeszli z Hoymową, udala niezmiernie ubolewanie nad tem; lecz w rzeczy nie była wcale gniewną na Annę: stosunek jej z królem, trudniej zawarty, stalszym być obiecywał. Miłostki krótkie, któreby księżnej Teschen nie obaliły wcale, nie odpowiadały jej myśli; przez Annę spodziewała się i ona pewniejszy wpływ pozyskać.

— Kochana hrabino — szepnął król, odchodząc — staraj się zmiekczyć ten posąg. Piękna jest, jak Wenus, to prawda, lecz i serce ma z marmuru.

Nim pani Reuss odpowiedziała, król począł schodzić ze schodów. Rozmowa z poufnym przyjacielem, jak Fürstemberg, w innym już była tonie.

— Kobieta jest zachwycająca — rzekł król — ale przerażająca razem: jak lód zimna...

— Najjaśniejszy Panie! trzeba czasu... Kobiety są różnych umysłów i temperamentów, coś dziwnego, że się broni.

— Broni! ale ona wyraźnie mówi, że wiekuistych chce ślubów...

— Każda miłość z początku myśli, że powinna być wiekuiścią, i każdej się przyrzeka... że nią będzie.

— Z tą nie przyjdzie łatwo — dodał August. — Teschen była daleko powolniejszą.

— Najjaśniejszy Panie, ale między niemi porównania niema.

— Niestety! to prawda... Teschen jej nie dorównywa... Poślijcie Hoymowi rozkaz, aby mi się wracać nie ważył.

— Ale cóż on tam robić będzie? — rozśmiał się książę.

— Niech robi, co chce, niech ze szlachtą się kłóci, niech im bałamuci żony — przerwał król — nadewszystko niech zbiera jak najwięcej pieniędzy, bo mam przeczuć, że moja nowa miłość wiele ich kosztować będzie. Taki brylant musi być koniecznie w złoto oprawnym...

— Jakto! Najjaśniejszy Panie, już miłość?

— Wściekła!! Fürstchen, rób, co chcesz... Anna musi być moją...

— A Urszula...

— Żeń się z nią.

— Dziękuję...

— Ożeń z nią, kogo chcesz... zrób, co ci się podoba... to rzecz skończona...

— Już, Najjaśniejszy Panie? — zapytał książę ze złe utajoną radością.

— Zrywam... zerwę... Hoyma ożłocę... ciebie... ja...

— Ale skąd tyle złota weźmiemy!

— Na to Hoyma rozum — odparł król — piszcie mu, niech sam się o akeyzę rozprawia, niech śledzi, bada, jeździ, egzekwuje, byle nie wracał.

— Aż gdy już nie będzie miał po co! — szepnął książę — to się rozumie.

Król westchnął. Weszli do pałacu, August wprost udał się do sypialni, smutny i zamyślony. Ostatnia kampania nie tyle go zgryzła, co niepowodzenie tego wieczora.

VII.

W ten sposób rozpoczęło się na dworze Augusta II jedno z panowań kobiecych, które dłużej nad inne trwać miało.

Cale miasto i dwór śledzili z niespokojnem zajęciem przebieg sprawy, której koniec łatwy był do odgadnięcia.

Nie przyszedł im jednak tak rychło, jak ludzie sądzili, z innych wnosząc wypadków. Hoyma posyłanymi do niego kuryerami wstrzymywano coraz dłużej, nie pozwalając mu powracać.

Codzień hrabina Reuss, pani Vitzthum, książę, wymyślali najrozmaitsze pozory dla zbliżenia króla do pięknej Anny; codzień pani Hoym była z nim śmielszą i poufalszą, ale August od owego wieczora u hrabiny Reuss nie postąpił ani na krok, nie usłyszał nie innego nad to, co mu naówczas zapowiedziała. Piękna Anna nie ustępowała wcale, chłód jej, przytomność i panowanie nad sobą w końcu wszystkich niepokoić zaczynały. Obawiano się, aby się król nie zraził, nie odstąpił, aby nie

skorzystano ze znużenia jego dla ułatwienia innego wyboru. Pani Hoym, ilekroć ją badano, odpowiadała chłodno, że może być żoną, lecz nie chce zostać kochanką. Wy magała, jeśli nie ożenienia, któremu stała na przeszkodzie królowa Krystyna Eberhardyna, to uroczystego zapewnienia, iż król ją poślubi, jeśli owdowieje.

Warunek był zaprawdę dziwny i niezwyčajny; w innym czasie, na innym dworze, wśród mniej płochych ludzi, byłby się wydawał niemożliwym, przecież król August, gdy mu pierwszy raz o nim doniósł Fürstemberg, nie odpowiedział ani słowa.

— Przyznam ci się — rzekł do niego w kilka godzin potem — żem znudzony tymi przedłużonymi konkurami: raz przecie skończyć to potrzeba...

— Zerwać? — spytał książę.

— Zobaczymy — lakonicznie odezwał się król.

Więcej nawet zwykły jego powiernik nie mógł się dowiedzieć.

Tegoż dnia król August kazał ze skarbu przynieść do gabinetu sto tysięcy talarów w złocie. Wór był ogromny, i dwóch go ludzi musiało dźwigać, choć silnych i barczystych. Gdy go złożono na ziemi, król rękę wyciągnął, chwycił za sznury i brzegi i podniósł bez trudności. Była to próba tylko. Fürstemberg nie śmiał się dopytywać o przeznaczenie tego skarbu, bo król był chmurny i opryskliwy. W przeddzień August widział się z Hoymową w bażantarni, dokąd ją przyjaciółki na przechadzkę wywiozły. Mówił z nią, chodząc długo, był niezmiernie czuły; lecz pani oblewała go chłodem i, gdy odjeżdżał, Vitzthumowa zapewniała, że na twarzy jego, wprowadzie skry-

wanego, lecz straszniejszego gniewu nie widziała nigdy jeszcze.

Widocznem było dla wszystkich, iż się stanowcze wypadki zbliżały. Król był milczący. Jeździł niemal codzień do księżnej Teschen, która tonęła we łzach, gdy jej donoszono o Hoymowej, i osuszała je, zobaczywszy Augusta. W tej niepewności przeszło kilka tygodni, czas, który się dworskim wydał niezmiernie długim. Nie wiedzieli, komu się kłaniać i dokąd iść z hołdami i plotkami. Naostatek Hoymowi już nie pozwolono, ale nakazano wracać, bo w skarbie dawała się czuć niebytność jego: on go najskuteczniej zasilął.

Właśnie tego dnia, gdy się z powrotem spodziewano ministra, król z owymi stu tysiącami talarów w karecie kazał wieczorem jechać do pałacu Hoyma.

Była szara godzina i dzień jesienny a mglisty. Hrabina Hoym sama jedna w domu chodziła zamyślona po swoim saloniku, dość niewykwintnie przybranym. Nie przyjmowała u siebie innych odwiedzin nad kobiece, zdziwiona była mocno, usłyszawszy męskie głosy na schodach, a bardziej jeszcze, gdy bez żadnego oznajmienia otwarły się drzwi i wszedł król.

Drzwi natychmiast zamknęły się za nim. Przerażona tem zjawiskiem, które nic dobrego nie zapowiadało, śmiała kobieta cofnęła się kroków kilka. Na stoliku leżał zawsze od pierwszych dni jej pobytu w Dreźnie pistolet nabity: był to jej nieodstępny towarzysz.

Śmiano się z niej, bo go tam wszyscy u niej wiedzieli. Gdy król wszedł, Hoymowa chwyciła pistolet i wsunęła go pod chustkę, którą była okryta. Jakkolwiek

ruch ten był żywy i zdawał się niepostrzeżonym, oka królewskiego nie uszedł.

— Nie potrzebujesz pani żadnej obrony — zawołał — a ta, którą sobie wybrała, na nicby przydatną nie była...

Anna wlepila w niego oczy, nie mogąc przemówić jeszcze.

— Słuchaj mnie, pani — kończył August, rzucając wór złota na ziemię z taką siłą, iż pękł i dukaty rozsypały się, brzęcząc po posadzce — mogę cię obsypać złotem, dostojęstwami i tytułami...

W tej chwili przyniesionej z sobą wziął dwie podkowy i zgruchotał je w rękach, rzucając kawały ich na kupę złota.

— Ale mogę — dodał — to, co mi się opiera, złamać, jak kruszę to żelazo. Masz pani do wyboru: złoto lub żelazo, pokój i miłość lub wojnę.

Anna stała, obojętnie patrząc na kupę złota i polamane żelastwo.

— Najjaśniejszy Panie! — odezwiała się po chwili — ja się nie lękam śmierci, ani pragnę złota. Możesz mnie zgnieść, jak te podkowy: woli mojej nie złamiesz. Złoto jej nie roztopi. Dlaczegoż nie przynosisz mi jednej rzeczy, która mnie poruszyć i zwyciężyć może? — twojego serca?

August podbiegł ku niej.

— Masz je oddawna! — krzyknął.

— Nie widzę tego i nie czuję — poczęła powoli Hoymowa — serce się objawia czynem: serce, co kocha, nie może pragnąć zbezczeszczyć to, co ukochało. Nie

będę taić ci, królu, kocham cię! Nie mogłam się oprzeć tej miłości, ale jej nie splamię...

Król żywo poskoczył ku niej i ukląkł; Anna uciekła w drugi koniec sali.

— Posłuchaj mnie, królu.

— Rozkazuj.

— Anna Hoymowa inaczej twoją nie będzie, jak gdy się godną twej miłości uczuje...

— Więc warunki? mów! jakie są warunki?

— Przyrzeczenie ożenienia się na piśmie.

August, słysząc to, zamilkł, spuścił głowę, brwi zmarszczył.

— Anno — rzekł — to dla ciebie samej niebezpieczny warunek, wierząc mi.

— Nie odstąpię od niego; życie zań dam, nie odstąpię. Moja cześć tego wymaga. W myśli i nadziei będę żoną twoją, lub... nie dotkniesz mnie, bo strzałem sobie odbiorę życie.

Król cofnął się krok.

— Dobrze więc — rzekł — chcesz tego, mieć będziesz...

Anna krzyknęła radośnie.

— Reszta jest niczem przy tem — odezwiała się głosem, w którym brzmiało szczęście. — Muszę mieć rozwód z Hoymem.

— Jutro każę go w konsystorzu podpisać — pośpiesznie dodał król. — Cóż więcej?

— Z mej strony więcej nie mam nic — przyklekając przed królem, złamanym głosem odezwiała się Anna — dla mnie tego dosyć...

— Ale nie dość dla króla, dla mnie — podchwycił

August, porywając ją w objęcia, z których zsuwając się na ziemię, Anna się zwolniła.

— Najjaśniejszy Panie — krzyknęła — wierzę twojemu słowu królewskiemu; lecz nim się dam dotknąć siebie, muszą pęknąć okowy, co mnie wiążą: rozwód musi być ogłoszony, przyrzeczenie twe podpisane. Jestem żoną Hoyma, przysięgam mu wierność i dochoвам jej.

August, milcząc, w rękę ją pocałował.

— Czyń, co ci się podoba, co cię uspokoi... jam twój niewolnik, tyś pani moja!! Dzisiaj przyjeżdża Hoym... rozstań się z nim... jutro pałac dla ciebie gotować każe; sto tysięcy talarów rocznie i całe moje dwa królestwa u nóg twoich, a z niemi ja...

Anna, widząc go klęczącego, zlekka pocałowała go w czoło i odskoczyła.

— Do jutra!

— Mam wyjść? — spytał August.

— Do jutra!

Podala mu rękę.

Król posłuszny wstał, pocałował ją i skierował się ku drzwiom, wzdychając. Na posadzce sali kupa złota rozrzucona została.

Tejże nocy hrabia Hoym powrócił, pobiegł do drzwi żony i zastał je zamknięte; powiedziano mu, iż pani spała, była chora i budzić się zakazała.

W przedłużonej nad wolę swą i potrzebę podróży hrabia coraz mocniej niecierpliwił się i niepokoił o żonę. Miał wprawdzie swoich zauszników, którzy mu regularnie codziennie donosili o każdym jej widowym kroku i ruchu, lecz ze wzmianek o odwiedzinach i przejażdżkach,

w których zawsze prawie i siostra jego, pani Vitzthum, udział brała, nie bardzo zdrożnego wnosić nie mógł. Czuł pomimo to, iż intryga związana rosła i plątała się coraz silniej, grożąc jego pożyciu małżeńskiemu, ale do kogo miał się udać, aby się o to upomnieć? U góry stał król, a króla lękał się Hoym nad wyraz wszelki, bo go lepiej znał nad innych. Jego pozorna słodycz, dobroć, łagodność nie łudziły go wcale. Los swojego dobroczyńcy Beichlinga miał ciągle na oczach. Największą rekojmią dlań był charakter żony, jej duma i miłość dobrej sławy.

Przybywając do Drezna, nie wiedział o niczem więcej nad to, co mu usłudze jego szpiegowie donosili; w samem mieście od ludzi dworu niewiele się spodziewał dowiedzieć.

Godzina spóźniona, a choć na zamku król biesiadował jeszcze, Hoym się już tam dostać nie kusił; pojechał więc do domu i, drzwi żony znalazłszy zamknięte, sam udał się na spoczynek po podróży.

Nazajutrz rano oblegli go urzędnicy od akcyzy; król przysłał, aby się stawiał do zamku, tak, że nie widząc się z Anną, wyruszyć musiał.

Nadzwyczaj słodko i uprzejmie przyjął go król, uściśnawszy (był to znak jak najgorszy). Wymawiał mu nawet, że tak długo w podróży zabawił, chociaż sam starał się o to, aby była przedłużoną: udał, że wcale o tem nie wiedział.

Hoym z zadziwieniem spojrzał królowi w oczy.

Nie mówiły nic.

— Masz nieprzyjaciół na dworze, to rzecz oczywista — szepnął August, uderzając go po ramieniu — chciano

cię od mojego boku oddalić; ale nie lękaj się, masz też we mnie silniejszego nad nich przyjaciela, a ten krzywdy ci nigdy uczynić nie da.

Hoym podziękował za łaskę pańską. W rozmowie o akcyzie i skarbie król stęknął na niedostatek pieniędzy.

— Hoym kochany, na wszelki sposób musisz się mi ich starać, potrzebuje ogromnie wiele.

Było około południa, gdy z tej audyencyi, która mu wiele dała do myślenia, do domu powrócił. Zaledwie się za nim drzwi gabinetu zamknęły, gdy drugie od sali się otwały i Anna, ubrana czarno, jaśniejąca pięknnością, spokojna i poważna, weszła, drzwi te zamykając na klucz za sobą.

Hoym podbiegł ku niej żywo: przyjęła go chłodno i zdaleka trzymając.

— Czekałam was, panie hrabio — rzekła głosem swobodnym — przychodzę mu podziękować za wszystko dobre, jakiegom od niego doświadczała, i zapewnić, że wspomnienie o tem zachowam na zawsze; ale zarazem muszę mu wyznać, iż małżeństwo nasze, na wzajemnej sympatyi nie oparte, nie dając ani dla was, ani dla mnie rękojmi szczęścia, zmierza do rozłączenia się: kilka lat ciężkiej próby nie pozwalają lepiej wróżyć na przyszłość. Trzeba się rozstać, panie hrabio. Znasz mnie pan, iż jestem otwartą i lubię postępować jawnie. Jego królewska mość uczynił mi ten zaszczyt, iż oświadczył się z przyjaźnią dla mnie: godzien jest, bym jej nie odtrąciła. Kocham go i postanowiłam być posłuszną. Zdradzać jednak waszmość pana nie mogę i nie chcę; przychodzę żądać rozwodu, który honor waszego imienia ocali. Nie mo-

żemy postępować inaczej. Jeśli rozwód z dobrej woli pan przyjmiesz, możesz być pewien mojej przychylności dla siebie i będę się starała być mu pomocną we wszystkim: jeśli zechcesz mi przeszkadzać i sprzeciwiać się, nie zmieni to mojego postanowienia, a zmusi zapomnieć o mojej wdzięczności dla niego, pamiętać tylko, że szczęściu memu stajesz na przeszkodzie.

Hoym, który od pierwszych wyrazów urzędowego i chłodnego przemówienia żony swej wszystkiego się domyślił, cofnął się, jak piorunem rażony. Obawiał się on wszystkiego, ale nie przypuszczał, ażeby rzeczy już w tej chwili zaszły tak daleko.

Błąda jego twarz okryła się siną niemal czerwonością; krew go dusiła, chciał kilka razy mowę przerwać i wybuchnąć: Anna trzymała go ostrym wzrokiem na miejscu, dopóki nie dokończyła. Hoyma oburzała i treść jej słów, a nadewszystko chłód, obojętność, z jaką je wy-mawiała.

Bawiła się sznurami swej sukni, koronką rękawa, chusteczką, którą miała w białych palcach.

Hrabina przestała już mówić, gdy Hoym, w którym gniew się burzył niewysłowny, jeszcze wyjąknąć słowa nie umiał.

— Mościa pani — krzyknął z namietnością, podnosząc pięść do góry — wywdzięczasz mi się łaskawie za to, że cię z zapleśniałego kąta wyciągnął... Odegrzałem żmiję... Rzucasz waćpani męża i dom uczciwy, aby pójść na łaskę i nielaskę najlekkomyślniejszego z ludzi.

Anna nie dała mu mówić dalej.

— Dosyć, panie hrabio, wiem odrazu, co mówić będziesz, ale wiem też, co czynię. Staranie o mój los mnie

zostawcie. Mojego postanowienia nic nie zachwieje. Proszę go o jedno tylko, o wybór: chcesz-li z dobrej woli przystać na rozwód, czy nie? mamy zostać przyjaciółmi, czy wrogami? tak, czy nie?

Hoym był najbałamutniejszym, najrozpustniejszym z ludzi tego dworu, na którym rozwiązłość zwała się galanterią; stosunek jego z żoną był jak najgorszy, miłość dla niej ostygła; w tej chwili jednak, gdy pomyślał, że ją ma postradać, żal, zazdrość, gniew, opanowały go aż do odjęcia mu przytomności.

Wedle zwyczaju swojego, gdy był w złości, począł szarpać odzież i perukę, latać po gabinecie, rozbijając krzesła i bijąc o stoły. Łamał ręce, stawał w oknie, patrząc bezmyślnie w ulicę; to znowu przypadał groźny do hrabiny, która nań nieulekniona czekała z uśmiechem prawie pogardliwym; zaczynał mówić i przerywał, biegając znowu. Miał zupełnie pozór oszalałego człowieka, który już nie wie, co czyni.

Stęsy papierów rzucał pod nogi i deptał niemi, stół obalił. Cała ta pasya, którą może chciał przerazić żonę, najmniejszego na niej nie wywarła wrażenia. Anna, niemal sztywno patrząc nań, cofała się milcząca i czekała. Nie mogąc wreszcie doczekać się odpowiedzi, głosem spokojnym odezwała się:

— Widzę, że pan nie możesz się tak prędko zdecydować, co sobie obierasz, pokój, czy wojnę; daję więc czas do namysłu. Przypominam tylko wam, że wojna ze mną i królem może być cokolwiek niebezpieczną; masz do wyboru albo wzrost lub upadek.

I wyszła, nie czekając już odpowiedzi.

Hoym latał ciągle, rwąc na sobie odzież, siadał, wsta-

wał, rozpaczał i byłby tak przetrwał nie wiem jak długo, gdyby go nadchodzący Vitzthum nie rozbudził z tych szalów.

— Co ci jest, Hoym? — zawołał — co ci się stało?

— Co się stało? a! wy to lepiej z pewnością wiecie ode mnie, kochani przyjaciele, coście mi tę miłą zgotowali niespodziankę. Anna mnie rzuca! królowi jeszcze i tej potrzeba było. Pocóż szła za mnie? dlaczego mi dała tych kilka lat szczęścia, ażeby niegodnie zdradzić, zesromocić w oczach ludzi i wystawić na szyderstwo...

Vitzthum dał mu się wyburzyć.

— Słuchaj, Hoymie — rzekł — bardzo pojmuję, że ci pięknej Anny żal być może, ale nigdy nie miałeś jej serca, a bałamuciłeś się tak, iż wątpię, żebyś i ty ją tak bardzo ubóstwiał. Jest to sprawa miłości własnej. O honor nie idzie, bo żona cię porzuca. Mówmy rozsądnie, ja przychodzę tu z poleceniem od króla.

Hoym namarszczył się, odskoczył i zamilkł.

— Cóż najjaśniejszy pan każe? — mruknął ironicznie.

— Żąda, abys dozwolił na rozwód z żoną, za co ci łaskę i wdzięczność swą przyrzeka — dodał Vitzthum. — W przeciwnym razie, mój kochany Hoym, bardzo mi cię żal, ale muszę ci oznajmić, iż się narażasz na najgroźniejsze następstwa. Masz wybór, z królem do walki stanąć nie możesz. Najmniejsza przykrość, wyrządzona hrabinie, uważaną będzie za obrazę majestatu.

— Ale pocóż chcecie mojego zezwolenia? — wybuchnął Hoym — wszakże król i bez niego uczynić może, co mu się podoba. Konsystorz jemu, nie mnie, będzie

posłusznym. Ja tu nie nie znaczę... Zabiera mi, com miał najdroższego, niech bierze, ale niech nie żąda, abym jeszcze za to mu dziękował.

Vitzthum się uśmiechnął.

— Jest to dowód łaski króla, że chce na to przyzwolenia twego, co i bez niego mieć może. Widzieć w tem powinienes chęć zatrzymania cię na stanowisku.

— Bom mu potrzebny! — mruknął Hoym.

Vitzthum usiadł na kanapie.

— Kochany hrabio, namyśl się — rzekł — gdy wyjdę stąd, będzie po czasie.

Hoym znowu biegł i co spotkał, wywracał, w końcu śmiać się począł, ale bolesnym śmiechem, pełnym goryczy, i padł w krzesło.

— Hoym, król czeka na odpowiedź — ozwał się Vitzthum.

— Wszakże nie mogła być wątpliwą — odparł minister — szyderstwem jest pytać odartego z sukni o pozwolenie zatrzymania jej, grożąc mu pałką nad głową. A więc naturalnie, kochany szwagrze, zanieziesz odpowiedź najjaśniejszemu panu, że jestem mu nadzwyczaj wdzięczny, iż raczył mię od ciężaru tej kobiety uwolnić; że zgadzam się na wszystko, żem rad, szczęśliwy, wesół i całuję pańską rękę jego. Przecież to honor niepospolity ofiarować najjaśniejszemu panu od ust nadgryziony owoc... ha! ha!

— Gdybyś wypił szklanek zimnej wody — szepnął Vitzthum, biorąc za kapelusz — he?

Ze współczuciem podał rękę Hoymowi.

— Wierz mi — rzekł cicho — ty jeszcze lepiej na

tem z łaski żony wychodzisz, niż inni. Powiem królowi, że się zgadzasz... ochłoniesz i odbolejesz.

Vitzthum przypomnieć sobie zapewne musiał, mówiąc to, własną swą przygodę z siostrą Hoyma, która krótką chwilę szczyliła się łaską najjaśniejszego pana.

Na odpowiedź męża oczekiwał sam król w zamku, lecz zniecierpliwiony w końcu, kazał się zanieść do pałacu Hoyma i wszedł do pokojów Anny. Vitzthum miał się udać na zamek, gdy mu oznajmiono, iż król o trzy kroki nań czeka. Z postawy i uśmiechu ulubieńca Augusta poznał zaraz, iż Hoym upierać się nie będzie. Piękna Anna niespokojnie biegła do posła.

— Byłeś hrabia szczęśliwszym, niż ja?

— Szczęśliwszym nad panią nikt być nie może — odparł, kłaniając się, Vitzthum — ale byłem cierpliwszym. Dałem się wyburzyć Hoymowi i na wszystko zgodził się.

Radość błysnęła w czarnych oczach Anny, o mało nie rzuciła się na szyję Vitzthumowi.

— A! przynosisz mi pan swobodę i szczęście — zawołała — nie umiem ci odwdziżyć.

Na stoliku złote stało pudełeczko, chwyciła je i podała Vitzthumowi.

Król pobiegł je zobaczyć i wyrwał mu z rąk gwałtownie.

W pudełku była miniatura Anny, przed kilku laty zrobiona.

— A! — zawołał król — przepraszam, to zanadto dla ciebie, Vitzthum; prawem królewskim konfiskuję, w zamian daję ci 20,000 talarów: tego wizerunku nikt, prócz mnie, mieć nie może i nie będzie.

Anna rzuciła się królowi na szyję.

Nazajutrz w konsystorzu oboje, hrabia Hoym i hrabina, podali się o rozwód, stając przed nim w osobach swych umocowanych; królewski rozkaz przyspieszył ogłoszenie wyroku, który trzeciego dnia został przybity na wszystkich placach, po gmachach i publicznych miejscach, bo tak Anna żądała.

Tegoż dnia hrabina wyniosła się z pałacu męża do przygotowanego dla niej domu w bliskości zamku, który na przedce połączono w kilkanaście godzin przybudowaną galeryą krytą.

Wieść o tym wypadku piorunem pierwszej chwili rozeszła się po mieście. Pani Hoym rzuciła zarazem nazwisko męża i od majątności swej rodziny w Holsztynie kazała się zwać panią Cosel. August poprzysiągł jej, że u cesarza Józefa wyrobi tytuł hrabiowski, a zamiast domu, który czasowo zajmowała, przyrzekł w kilka miesięcy wznieść pałac czarów i tysiąca nocy.

Nigdy oddawna żadna z ulubienic króla tak jego umysłu, serca i namiętności nie opanowała. Całe dni prawie spędzał u niej, stał się niewidzialnym... zapomniał o całym świecie.

W pierwszej chwili zaraz księżna Teschen, z którą król z wyszukaną czułością i zręcznością do ostatniej chwili się obchodził, dowiedziała się o wszystkim. Rozwód Hoymowej, jej przeniesienie się pod zamek nie zostawiały najmniejszej wątpliwości o tem, iż panowanie księżnej było skończone. Ze strony króla ustały wprawdzie nadskakiwania i odwiedziny, lecz księżna Teschen pozostała swobodną, panią swej woli i niełaska nie dotknęła

jej więcej w niczem, pozbawiła tylko widoku króla i nadziei przyszłości.

August musiał ją oszczędzać, choćby dla kardynała Radziejowskiego, na którego wpływ miała przeważny, a ten sprawom króla bardzo być mógł szkodliwym. Pomimo szpiegów, jakich Vitzthum z rozkazu pana nasadził dookoła pałacu księżnej, o zamiarach jej nie się dowiedzieć nie było można. Próbowano przez Glasenappową, nienawidzącą siostry, dobyć z niej tajemnicę, którą w żalu zdradzić mogła, ale księżna Teschen milczała i płakała. Nikt nie wiedział, czy pozostanie w Dreźnie, zamieszka w Hoyerswerda, lub zechce się udać do Polski. W domu najmniejszych przygotowań do podróży widać nie było, życie szło trybem zwykłym, dwór tylko dawniej świetny i liczny znacznie się zmniejszył. Ci, co pozostali wiernymi księżnie, posadzani byli o szpiegostwo; towarzystwo więc milczące ją otaczało i wieczory upływały smutnie.

Jeden książe Ludwik Wirtemberski teraz częściej i dłużej tam przebywał.

Intrygi dworskie, na chwilę skierowane na obalenie panowania księżnej Teschen i wzniesienie pani Cosel, po zwycięstwie jej, inny wzięły kierunek.

Fürstemberg, którego król w początku tych stosunków używał do nich, ustąpić musiał miejsca Vitzthumowi, odgrywającemu rolę usłużnego pośrednika. Dwa stronnictwa nieprzyjazne zaczęły się coraz jawniej zarysowywać wśród na pozór sformego dworu Augusta II-go. Stwiernieniem było dobrego króla najtroskliwszem nie dopuścić, aby wkoło niego w zgodzie żyli z sobą ludzie. Obawiał się tego i, o ile mógł, przykładał do poróżnienia

ich z sobą. Jątrzył ich naprzemiany okazywanymi jednym laskami szczególnymi, to dając się drugim dorozumiewać, iż mieli w tamtych nieprzyjaciół. Widok pokrzywionych i marsowo z ukosa na się spoglądających twarzy cieszył go i ubezpieczał. Jedni w ten sposób skarżyli na drugich, dowiadywał się o nadużyciach ze wszech stron i cała strategia króla polegała na podsycaniu niechęci, na uniemożliwianiu zgody.

Vitzthum, o którym wspomnieliśmy, zajmujący w sprawie pani Cosel miejsce powiernika, był, jakżeśmy mówili, szwagrem Hoyma. Rodzina ta, pochodząca z Turynii, była już oddawna w służbie saskiej. Wielki sokolniczy, hrabia Fryderyk Vitzthum von Eckstädt, miał naówczas niespełna lat trzydzieści. Służył na dworze od pazia, i od dzieciństwa przyjaźnił się z Augustem. Odbywał z nim podróże owe po Europie, w których tyle przygód ciekawych doznali, a po upadku wielkiego kanclerza Beichlinga w roku 1703 dostał wielkie sokolniczoństwo, dworski urząd, który brat kanclerza zajmował, nim go w Koenigsteinie posadzono.

Vitzthuma król lubił nad innych, może dlatego, że się go wcale nie obawiał; nie był to wcale geniusz, nie był zabiegliwy bardzo człowiek, uprzejmy, grzeczny, łagodny, usłużny, zresztą doskonały dworak i piękny bardzo mężczyzna. Szczególniej w rycerskich ćwiczeniach, ulubionych królowi, celował Vitzthum, jeździł doskonale konno, strzelał, gonił do pierścienia, a gracz był tak namiętny, iż, gdyby mu wolno tylko było, grałby dzień i noc bez przerwy. Odznaczał się też nie złośliwym, ale miłym dowcipem i wesołością. Mówiliśmy już, jak szlachta saska ostrożnie, ale uparcie starała się królowi z usza-

nowaniem opierać, gdzie szło o jej przywileje. Vitzthum był tej szlachty przy dworze potajemnym i zręcznym obrońcą. Poufałość, jakiej mu król dozwalał, szczególnie przy ucztach i winie, dawała mu sposobność powiedzenia czasem skutecznego słowa, które uchodziło za żart, a w istocie było bolesną i gorzką prawdą.

Wyjawszy tą straż interesów szlacheckich, Vitzthum do niczego się nie mieszał, od intryg stronił, ambicyi nie miał, a królowi służył jak przyjacielowi.

Obok i poza Vitzthumem stała siostra Hoyma, żona jego, jedna z najczynniejszych intrygantek na dworze, w którym kobiety tyle przynajmniej, jeśli nie więcej, niż mężczyźni, rządziły. Pani Vitzthum była naówczas jeszcze bardzo świeżą i ładną. Słusznego wzrostu, jak większa część Saksonek arystokratycznych rodzin, oko miała szafirowe, pleć świeżą, noszek odrobinę zadarty i wesołość często zbyteczną, bo ją po śmiechu poznawano zdaleka. Śmiała się dziecinnym piskliwym śmieszkiem. Pani Vitzthum, jak gra, bawiła się dworem, szpiegowała przez miłość sztuki, podsłuchiwała, nosiła plotki, zastawiała sidła, rzucała ludźmi, zapalała namiętności, wzbudzała kłótnie, wadziła, godziła, a mimo to wszystko prowadziła dom, męża, gospodarstwo i interesa wybornie, i bez niej częstoby zabrakło grosza. Miała do gry namiętność taką, jak mąż, ale grała ostrożnie i szczęśliwie, nabywała dobra i popychała męża, za którego musiała mieć ambicyę, bo jemu na niej zbywało.

Vitzthumowie nie należeli właściwie do najpotężniejszych ulubieńców króla, przez których ręce szły wszystkie sprawy państwa; stali oni na stronie i na pozór niżej od Fleminga, Fürstemberga, Pfluga i innych, niemniej

jednak wiedzieli najskrytsze tajemnice, wpływali na sąd króla o ludziach i groźni być mogli nieprzyjaciolom.

Vitzthum działał jako narzędzie żony posłuszne. W początkach panowania pani Cosel stanęli też z nią w stosunkach, które obiecywały, że będą podzielać jej wstręty i przyjaźni i natchnąć ją potrafią jednymi i drugimi.

W kilka dni po przeniesieniu się Cosel do domu pod zamkiem, dwór cały uczuł, że nowa królowa nie będzie tak powolną, łzawą i mdlejącą, jak księżna Te-schen: nowe życie wstąpiło we wszystkich. Dumna a piękna pani głosiła się drugą żoną królewską i występowała już jak królowa.

Sam August był tylko w początkach najposłuszniejszym jej wielbicielem. W pięknej głowie kobiety, którą traf zbliżył do tronu, szczęście objawiło się upojeniem.

Zima obiecywała się być najświetniejszym z dawno pamiętnych karnawałów.

VIII.

Nie z zbywało ówczesnemu dworowi Augusta II na zabawnych i oryginalnych figurach, których jedynem powołaniem było króla smutek rozpędzać i nudom nie dawać przystępu do najjaśniejszego pana.

Codzień zrana, z tak zwanego naówczas Starego Miasta, które się dziś właśnie Nowem nazywa, przejeżdżał na koniu w najpocieszniejшем ubraniu, znany od uliczników do ministrów wszystkim mieszkańcom, kuglarz a trefniś pański, Józef Fröhlich, który się tytułował nadwornym jego królewskiej mości artystą figlarzem. August, w dobrym humorze będąc kiedyś, kazał nawet wybić medal na cześć jego z napisem: *Semper Fröhlich nunquam Traurig*. Fröhlich z obowiązku tak się nałożył do śmiechu, iż i drugih śmieszył i sam się śmiał od rana do wieczora.

Już sama jego postać, gdy w urzędowym stroju z własnego domu przy moście, zwanego Błażeńskim (Narrenhaus), udawał się na służbę, zdolna była najsmutniejszego rozweselić. Fröhlich był mały, okrągły, rumiany,

nosił się w rodzaju fraczka hanswurstowskiego, a takich fraków miał, z łaski króla, różnego koloru dziewięćdziesiąt dziewięć. Na głowie ogromny śpiczasty z piórem kapelusz, z tyłu zaś nakształt klucza szambelańskiego dźwigał ogromne srebrne naczynie, mające kształt kłuczowi podobny, które w istocie za dobry puhar służyć mogło, bo ważyło sześćdziesiąt uncyi. Był to podarek króla, a ile razy Fröhlich przyzwany do nocnej uczty pił, musiał pić ze swego szambelańskiego klucza.

Jako trefniś, byłby znużył może jednostajną wesołością swoją, gdyby z obrachowanym artyzmem nie miał umyślnie przeciwstawionego kontrastu w osobie niejakiego kammerkuryera barona Schmiedla, który grał rolę melancholiczną. Schmiedel i Fröhlich jako Heraklit i Demokryt, nieskończone z sobą wiodąc spory, zabawiali Augusta i dwór jego. Gdy się obu wyczerpało conceptów, min i siły, na podstawkę byli trefnisie podrzędni, tak zwany Saumagen i Leppert z Lipska. Dodajmy olbrzyma Cojanusa, dwanaście par karłów ze sławnym Hantem na czele i Trammem, murzynów, albinosów... a dalecy będziemy od poznania nawet tej maluczkiej części dworu, która ku poufalej pańskiej zabawie służyła.

Słowny Kyan dowcipniś nie inną też tu grał rolę, a widzieliśmy przy pierwszej uczcie, jak król go szacował. Fröhlich był przy swej wesołości człowiekiem roztropnym i wcale niezłym. Powoli sobie grosza ciulał, żył oszczędnie, śmiał się może po cichu z tych, co się z niego głośno śmieli, i wśród tego ukropu dworskiego, w którym się wielu parzyło, wychodził jakoś cało.

Rano do dnia Fröhlich w swojej jace i kapeluszu

udawał się do zamku, a często bardzo późno powracał do gospodyni, która domu jego pilnowała.

Do blażeńskiej kamienicy rzadko kiedy kto zapukał, bo i gospodarz w niej był gościem. Dziwnie się więc wydało pannie Locie, dojrzałej jejmościance na usługach Fröhlicha, gdy jednego dnia jesieni, o brzasku prawie, bo słońce jeszcze nie było wzeszło, ktoś począł dobijać się do drzwi.

Nadworny kuglarz nastawił ucha; nie był jeszcze ubrany, koń nie gotów, a sądził, że przez jaki osobliwszy kaprys król, do rana się zahulawszy, przysłał po niego. Lota, wyjrzawszy przez szybę we drzwiach, nabrała tego samego przekonania, zobaczywszy barwę dworską: w progu stał młody, słusznego wzrostu mężczyzna.

Zmierzywszy go od stóp do głowy oczyma, Lota spytała, czegoby chciał.

— Chciałbym kilka słów pomówić z panem Fröhlichem — odparł przybyły.

— Czy od króla?

Na to nie było odpowiedzi.

Że się różne poselstwa tajemnicze trafiały, Lota nie śmiała odmówić przystępu i wpuściła nieznanego na górę, gdzie Fröhlich przed zwierciadłem już się w swój strój urzędowy przybierał.

Dla niego było to także dziwne zjawisko: gość czy posłaniec. Odwrócił się ku nieznanemu i natychmiast wchodząc w swą rolę, w wielkich krygach i przesadnych ukłonach powitał go jako ekscelencyę. Nic mniej do ekscelencyi nad tego biedaka podobnem być nie mogło: błąd, zbiedzony młody człowiek stał w progu, dusząc kapelusz w rękach.

— Czem mogę służyć waszej ekscelencji? — zapytał wpół zgięty Fröhlich.

— A, panie Fröhlich — odezwał się cichym głosem przybyły — nie żartujcie sobie z biedaka... dla mnie wy prędzej będziecie ekscelencyą, niż ja dla was.

— He? he? — spytał Fröhlich — ja dla was? Czy król was przysyła? nie!

— Nie, przychodzę sam i proszę was o chwilę rozmowy sam na sam!

— O audyencyę? he? — podchwycił, pusząc się, Fröhlich — *donnerwetter!* czy przez sen, sam o tem nie wiedząc, nie zostałem ministrem? Na naszym dworze (cyt!) wszystko być może. Ministrowie tak się gryzą, iż ich w końcu nie stanie, a naówczas ja i waćpan możemy dostąpić tych dostojęństw. Ja sobie zawczasu ministeryum skarbu i akcyzę wymawiam.

Gdy gospodarz to mówił, na twarzy przybyłego, mimo wesołego wyzwania, ani promyk jaśniejszy nie błysnął; stał chmurny i milczący.

— Chwila rozmowy sam na sam? ze mną?... akorduję... W całym domu niema nikogo oprócz Loty, która gotuje śniadanie, i haus knecht, który konia drapie.

Siadł w krzesło, rozparł się i począł udawać dygnitarza, przyjmującego klienta.

Przybyły zbliżył się, nierozśmieszony wcale.

— Panie Fröhlich — rzekł — zdziwisz się mocno, gdy się dowiesz, że ja do was przychodzę w sprawie bardzo poważnej.

— A toś się o drzwi omylił!

— Nie — rzekł nieznajomy — wcale nie... widuję

waćpana codziennie na dworze, z twarzy jego wyczytałem, żeś dobry człowiek i serce masz ludzkie.

— Kochanie! pewnie chcesz pieniędzy pożyczyć — przerwał Fröhlich, trzepiąc rękoma — ale cię uprzedzam, że z tego nic nie będzie. Wszystkiem szafuję: radą, śmiechem, ukłonem, grzbietem, czem chcesz; ale pieniędzy! No, nie mam. Król goły, jakże chcesz, żebym ja pieniądze miał?

— Ani mi się śniło prosić was o to.

— A! — oddychając, rzekł Fröhlich — to czegoż u licha możesz ode mnie żądać? Żebym cię sztuki jakiej nauczył? Naprzykład jak się z jednego jajka sto pięćdziesiąt łokci wstażki wyciąga?...

— I to nie — odparł przybyły.

— Szukasz mojej protekcyi? — spytał Fröhlich.

— Byćby to mogło — smutnie rzekł nieznajomy — gdy kto innej nie ma.

— To się choć do błazna udaje! — rozśmiał się stary.

— Ale dalipan, Schmiedel, jako baron i kamerkuryer, lepiejby ci przystało; widzę z barwy, że należysz do dworu, ale akcent masz obcy. W tem niema nic dziwnego, bo tu wkrótce Sasa na saskim dworze z latarką szukać przyjdzie. Któżże ty?

— Jestem Polak, nazywam się Rajmund Zaklika.

— Polak, więc szlachcie, to się rozumie — rzekł Fröhlich — siadaj-że, szanuję szlachectwo... a żem ja mieszczanin, będę stał.

— Nie żartuj, panie Fröhlich.

— Nie mogę, udławiłbym się własnym językiem, gdybym nie żartował. Ale czas krótki, czas drogi: mów, szanowny Polaku, co ci jest? choryś? ja-m nie doktor.

Jakaś chwilę Zaklika na odpowiedź się zebrać nie mógł, tak humor Fröhlicha widocznie go nękał.

— Pozwól mi pan o sobie kilka słów powiedzieć.

— Kilka? dobrze.

— Dostałem się na ten dwór wypadkiem... słyszałeś pan o mnie pewnie. Trafiło mi się nieszczęście łamać podkowy, gnać puhary i ścinać koniom łby na wzór najjaśniejszego pana... kazano mi za to wisieć przy dworze.

— Już wiem, wiem; przypominam — rozśmiał się Fröhlich — nie zazdroszczę ci, kochany panie — jakże?

— Zaklika...

— Kochany panie „Unglücku“ — kończył Fröhlich.

— Ale któż był tak... prostodusznym, by ci mógł radzić mierzyć się z królem... Trzeba być bardzo... domyśli się... by sobie tak smutną obrać rolę.

— Od czasu, jak wiszę u dworu, życie mi obrzydło... ludzie mnie omijają, przyjaciela nie mam, opieki... nikogo...

— A wiesz, że za opiekuna i za przyjaciela mnie chcieć wybrać, to równie szczęśliwa myśl, jak łamać podkowy! Człowiecze, gdybym mógł łamać kowadła... nie skruszyłbym słomy ze strachu, abym nie obudził zazdrości: pięknie się wykierowałeś...

— Stało się — rzekł Zaklika — nie mam tu nikogo.

— I jesteś w dodatku Polakiem, gdy tu teraz imienia Polaka wymówić się nie godzi... Nie chciałbym być w twej skórze...

— Właśnie, że mi w niej niewygodnie, myślałem, że choć Fröhlich się nade mną ulituje...

Stary trefniś wielkie wytrzeszczył oczy, twarz jego

pomarszczona stała się nagle poważną i smutną, założył ręce na piersiach. Potem przystąpił do Zakliki, wziął go za rękę i począł mu puls macać, jakby był doktorem.

— Boję się, kochany Unglücku, czy ci się w głowie nie pomieszało... — rzekł cicho.

— Byćby to mogło! — uśmiechając się, odezwał Zaklika.

Fröhlichowi twarz się znowu wyjaśniła jakby z nalogu.

— O cóż ci idzie? — spytał.

— O to, aby mnie ze służby dworskiej najjaśniejszy pan uwolnić raczył...

— O to najłatwiej — rzekł Fröhlich po cichu — zrób głupstwo jakie, postawia rusztowanie na Nowym Rynku i będziesz dyndał. Jest to sposób krótki, łatwy i skuteczny...

— Na to jeszcze czas — odparł Zaklika.

— Cóż myślisz robić, gdy cię uwolnią? powleciesz się do swego kraju z niedźwiedziami borykać?

— Nie, zostanę tu.

— Czy ci jaka Drezdenka wpadła w oko?

Zaklika mocno się zarumienił.

— Nie — rzekł — mogę dawać lekcye fechtów i konnej jazdy, mogę się gdzie do jakiego wojska zaangażować...

— Czy mrzesz głodem na dworze?

— Nie, mamy wszystkiego do syta...

— Czy ci nie płacą?

— Owszem...

— Dlaczegoż ci źle?...

Zaklika się zmieszał.

— Nie mam tu co robić, jestem niepotrzebny...

— Panie Unglücku, ja cię nie rozumiem, chcesz czegoś nienaturalnego: masz chleb i spokój, a szukasz biedy...

— Może — odparł krótko Zaklika — ale się wszystko znudzi...

— Szczególniej, gdy komu dobrze i nie ma nic do roboty — dokończył Fröhlich. — Jednakże ja w tem wszystkim nie widzę, jakbym ci mógł być pomocnym?

— Najłatwiej. Stoję często przy drzwiach pomiędzy pańskim dworem; lada konceptem zwrócić możesz na mnie uwagę, a pod dobrą chwilę król miewa różne fantazye.

— A jeśliby mu przyszła taka, żeby cię kazał powiesić? — spytał trefniś.

— Waćpan-byś mnie obronił...

Fröhlich przeszedł się po pokoju, włożywszy spiczasty swój kapelusz z piórem na głowę, a ręce w kieszenie.

— Donnerwetter! — zawołał — zaczynam się dorożumiewać po raz pierwszy, że ja tu jestem potęgą, kiedy się ludzie zgłaszają po moją protekcyę. Waćpan mi otworzyłeś oczy! Przez samą wdzięczność cośbym rad uczynić dla niego... Któż wie... mówią, że Kyan zostanie komendantem Koenigsteinu, ja mogę być przynajmniej kaznodzieją nadwornym lub radcą w konsystorzu! Zaczynam nabierać ambicyi...

I, upadłszy w krzesło, Fröhlich śmiać się począł... popatrzał z politowaniem na Zaklikę.

— Świat przewrócony! donnerwetter! szlachcie

polski oddaje się w protekcyę trefnisia... a Szwedzi, którzy żyją śledziami, biją Sasów, którzy się karmią świniną!

Plasnął w ręce. Na to hasło wpadła Lota, stając w progu z polewką winną na talerzu.

Fröhlich dał komicznie znak Zaklice, aby zamilkł, i skłonił mu się, jak minister, który audyencyę zamyka. Wejrzeniem pożegnawszy go, Zaklika smutny spuścił się ze schodów.

Dziwaczną zaprawdę powziął był myśl udania się pod opiekę wyśmiewanego trefnisia, lecz konieczność i rozpacz zmusiły go do tego. Biedny chłopak śmiertelnie był znużony swą rolą komparsa na dworze... snuło mu się po głowie, że swobodny mógłby może inną odegrać... Sprawa Hoymowej, która nagle zmieniła się w panią Cosel, ściągnęła go z przechadzek od Laubegastu do miasta. Śnił niezrażony niczem, że mógłby jako dworzanin zostać przyjęty do domu... tej, w której czarne oczy patrzeć było dlań największem szczęściem...

Tak dziwaczne miłości, jak ta, która Zaklikę opadowała, rzadko się na świecie trafiają. Rajmuś nie pragnął nic, tylko patrzeć na swe bóstwo. Nie śniło mu się nigdy nawet o żadnem większem szczęściu nad to... Chciał być jej stróżem, wartą, niewidzialnym obrońcą... domyślał się, że musiała mieć nieprzyjaciół... lękał się o nią, pragnął zyskać jej zaufanie i całego siebie, choćby życie oddać na jej usługi i ofiarę. Chłopak był dziwnego temperamentu: powolny na pozór, ale upartej a niezłomnej woli. Śmiał się sam ze swej miłości dla tej, która się zwała królową, a uczucia tego zgasić w sobie nie mógł. Szczęśliwe czasy w Laubegastie, gdy ukry-

ty mógł ją śledzić oczyma i odgadywać jej myśli, teraz mu rajem się wydawały. W Dreźnie twarz pięknej królowej rzadko miał szczęście dojrzeć na chwilę. Widywał ją przejeżdżającą konno z królem, wsiadającą i wysiadającą z powozu, w teatrze, jeśli się potrafił między dworzan gdzie wcisnąć: tego wszystkiego było mu mało. Roił, że się tam kiedyś musi dostać do jej domu. To był dlań najwyższy szczyt szczęścia, jedyne ostatnie pragnienie. Dla dostąpienia go byłby nietylko trefni-siowi się pokłonił, ale daleko większe zniósł upokorzenie.

Miłość biednego chłopca dla tej idealnej piękności nie zresztą nie ma w sobie tak dziwnego; daleko osobliwszem mogłoby się to wydać, że Cosel, która go parę razy widziała zdaleka, Cosel, z całą swą dumą, ze świeżą miłością dla pięknego Augusta, w szczęściu, które ją upajało, parę razy zadała sobie pytanie: „Co też z tym dziwakiem z Laubegastu się stało?” Parę razy oczyma go szukała w tłumie. Z jej strony była to tylko litość, ale i litość w tych istotach szczęśliwych, które się poja-ambrozją życia, jest bardzo niezwykajnem uczuciem.

Cosel nie była wcale czułą: była namiętą, energiczną, zuchwałą, ale serce jej niełatwo się litością poruszyć dawało. Przecież ten pokorny szaleniec, co po szyję zanurzał się w wodę, aby na nią popatrzeć, przypominał się jej mimowolnie. Pochlebiali to jej piękności. Uśmiechała się rada temu wspomnieniu, o którym nigdy nie powiedziała słowa nikomu.

Myliłby się, ktoby sądził, że rozmiłowany August II dla pięknej Cosel wyrzekł się swych nocnych uczt z przyjaciół. Z wielu rachub i względów były one dlań po-

trzebą i nalogiem w dodatku. Wśród upojonych dworzan siało często królewskie słowo niezgody, która była panowania narzędziem; a zręczne badanie dobywało z rozweselonych wyznania, na któreby się trzeźwi nie zdobyli. Jak z Hoyma udało się wycisnąć wizerunek jego żony, tak z innych niejednen skrywany grzeszek król wyciągnął. Dnia tego znowu wieczorem była hulanka na zamku. August był teraz w najlepszym humorze, myślał o tem, jak swe bóstwo otoczyć Olimpem wspaniałości, zbytku, rozkoszy, zabawy. Sprawy poważniejsze zabierały część dnia, wieczorem pijano.

Hoym, który został przy akcyzie, przy ministerstwie, przy pięćdziesięciu tysiącach talarów, którymi dobry król otarł łzy jego po stracie żony, należał znowu do wszystkich biesiad nocnych. Hoym był potrzebny, gdyż na wszystko i nadewszystko potrzebne były pieniądze, a on jeden dostarczać ich umiał.

Wyczerpały się środki wyciśnięcia ich ze zubożonego kraju, umysł jego zdobywał się na wyszukiwanie nadzwyczajnych źródeł dochodów. Opodatkowywano, co nigdy dawniej nie płaciło, ściągano grosz cudownymi wymysły, król nagradzał hojnie tych, co go mu dostarczali.

Lecz najgenialniejszy nawet umysł wyczerpuje się przy nieustannie powtarzanych wymaganiach, uciekać się więc trzeba było do środków gwałtownych i hazardowych. Upadek wielkiego kanclerza, do którego i polityczne przyczyniły się wypadki, w znacznej części spowodowany był rozgłosem o niezmiernych zebranych przez bogactwach. Królowi zrobiono nadzieję milionowego

po nim spadku. Tymczasem skończyło się to na pałacu darowanym księżnie Teschen, na kilku wioskach i na pół milionie talarów, które był królowi niegdyś pożyczył, a tych mu już oddawać nie było wcale potrzeby. Reszty półtoramilionowej fortuny kanclerza rozdzieli między siebie jego nieprzyjaciele: Fürstemberg, Pflug, może Fleming. Król, co się wiele spodziewał, nic nie dostał.

Drugim środkiem dostarczenia królowi sum bajecznych, jakich jego fantazje wymagały, było urojenie ówczesne, powszechną będące chorobą: wiara w tajemnicę robienia złota. August, jak inni panujący, na alchemię chorował. Nie powątpiewano bynajmniej, że istniała cudowna tynktura, mająca siłę przerabiania wszystkich kruszców na złoto, a przerabiano złoto prawdziwe na dymy i popioły.

Kanclerz Beichling wierzył, jak wszyscy marzyciele, w to, że się złota w retorcie dorobić można, i on i wielu innych karmili w Auguste II myśl tę, że znajdą człowieka, co mu będzie w garnuszku smażył miliony, tak nieodbitcie do szczęścia potrzebne.

Na dworze przychodziły chwile zapału do alchemii, w których nie mówiono o niczem, prócz o tynkturze i robieniu złota. Miał pracownię alchemiczną kanclerz, miał drugą Fürstemberg, do której król sam przychodził, mieli je i inni miłośnicy wielkiego dzieła.

Chodziły podania o różnych szczęśliwych mędrcach, którzy tynkturę permutującą kruszce posiadali.

Jest rzeczą pewną, iż Beichling nie byłby obalonym, bo królowi pieniędzy dostarczać umiał, gdyby Fürstemberg nie mówił Augustowi, że znajdzie człowieka, który

mu złoto będzie robił, i zrobi go daleko więcej, niż kanclerz mógł z kraju wycisnąć.

Tym mędrcom, na którego Fürstemberg rachował, był prosty aptekarczyk z Berlina, którego początkowa historia dość jest ciemna, ale późniejsza najlepiej dowodzi, że złota wcale robić nie umiał, choć tracił je z przyjemnością wielką i gustem. Na lat kilka przed tymi wypadkami Jan Fryderyk Böttiger, Sas rodem ze Schleiz, zabawiał się w aptecę w Berlinie fabrykacją tynktury, czyli, jak inni chcą, miał on sobie daną gotową przez jakiegoś awanturnika, zowiącego się Laskarysem i archimandrytą klasztoru greckiego w Mitylenie. Fryderyk I pruski rad był sobie tego szacownego złotoroba przyswoić i naturalnie do klatki zamknąć, żeby tajemnicę sam tylko mógł posiadać. Böttiger uszedł do Saksonii. Prusy domagały się wydania, ale i król August potrzebował pieniędzy: schwycono więc drogiego człowieka do Drezna.

Fürstemberg sam pracował z nim nad tynkturą i wielkiem dziełem, a król najmocniej wierzył, iż lada dzień złoto się z tygla posypie.

Głaskano, pojono, obsypywano Böttigera obietnicami i laskami, ale trzymano go pod strażą. Upływały lata, wywrócono z pomocą tej nadziei tynktury Beichlinga... tynktura nie mogła się jakoś usmażyć. Posyłano królowi do Warszawy merkuryusz i różne ingrediencye dla zrobienia złota, do którego trzeba się było przygotowywać modlitwą, pobożnością i czystością ducha; król August spowiadał się, siadał nad tygłem i nic nie wysmażył. Szczęściem pies stłukł merkuryusz przysłany przez Bötti-

gera do Warszawy, użyto innego i niepowodzenie roboty przypisać się dało psu, nie ludziom. Böttiger siedział ciągle straszliwie znękany, jak w więzieniu, u Fürstemberga na zamku, potem w fortecy na Koenigsteinie, gdzie mało nie oszalał, i znowu potem na zamku... przy wszelkich wygodach... a no, złota nie robił. Cała ta historia nieszczęśliwego alchemisty należy do charakterystyki wieku. Ten więziony adept, tynktura, tygla, w których ma się wytopić złoto na wojny i maskarady, król godzinami pracujący „po spowiedzi“ z Fürstembergiem nad tynkturą, a potem odpoczywający u księżnej Teschen — są to nieoszacowane rysy obrazu wieku.

Böttiger korespondował z królem, i król oświadczał się dla niego z miłością wielką. Böttiger w więzieniu dawał bale, obiady i przez trzy lata ostatnie kosztował króla 40,000 talarów!

Gdy Cosel na tron po księżnie Teschen wstąpiła, zastała sławnego alchemika znowu na zamku, w baszcie na tarasie, otoczonej ogródkiem, zajętego ostatecznem wykończeniem formuły złotodajnej. Oczekiwanie było wielkie, nikt nie wątpił, że Böttiger wreszcie tajemnicę odkryje. Szczególna rzecz, zastrzegał on sobie, ażeby nie spożytkowano źle jego wynalazku: „aby pieniędzy nie obracano na zbytki, na grzeszne czyny, na niegodziwą rozrzutność, na niepotrzebne i niesłuszne wojny, i tego rodzaju dzieła nieprawości“. Powiadał, że posiadającemu arcanum „nie godziło się służyć panu, któryby był publicznym jawnogrzesznikiem i małżeńską łamał wiarę, lub niepotrzebnie krew rozlewał“...

Zdaje się, że tym sposobem obwarowując robienie sa-

mo złota, aptekarczyk szukał sposobu, jakimby się z niepowodzenia uniewinnił.

W dniu tym, w którym Zaklika oddał się pod opiekę Fröhlicha, właśnie wieczorem przypuszczony był „nadworny kuglarz“ do zabawiania towarzystwa. Leżało mu na sercu, by młodzieńcowi usłużyć, który w nim nadzieję pokładał... łamał nad tem głowę, ale nie był w swej roli. Umiał dla siebie coś wyzyskać, dla drugich nigdy o nic nie prosił. Czuł, że mu w tem zręczności brakło. Król przyjmował u pani Cosel Fürstemberga, Vitzthuma i kilku zwykłych towarzyszków wieczornych. Pani Reuss, Vitzthumowa i Hülchenówna składały dwór nowej pani.

Po wieczery Fröhlich musiał pokazywać sztuki. Śmiano się do rozpuku. Między innemi udawał alchemika, który miał robić złoto i przyniósł w tyglu trochę śmiecia. Z tego król August się nie rozśmiał i owszem, pochmurną stała się twarz jego. Cosel już coś zasłyszała o Böttigerze, jęła więc rozpytywać po cichu. Nie rad się król przyznawał do tej tajemniczej słabości, chociaż naówczas dzielali ją z nim najuczeńsi ludzie wieku.

— Fröhlichowi — szepnął król — wolno się śmiać nawet ze mnie, a więc i z rzeczy tak poważnej, jak tajemnica robienia złota. Ten, który ją niezawodnie posiada, ale dotąd nam odkryć jej nie chce, o mało nie wyrwał się z rąk naszych... Udało mu się wymknąć na ziemię cesarskie i ledwieśmy go stamtąd wydobyć potrafili. Przekona się w końcu, że posłusznym być musi... trzymamy go pod silną strażą...

— Najjaśniejszy Panie — rzekł Fröhlich — dopóki przy nim niema tak silnego człowieka, któryby każdego

czasu mógł go pochwycić i któregooby się obawiać musiał, niema też pewności, że nie zbiegnie. Najjaśniejszy Pan sambyś był dlań najlepszym stróżem lub człowiek, coby miał równą siłę herkulesową... ale takiego drugiego na świecie niema.

— Mylisz się, Fröhlich — rzekł August — był lub jest na moim dworze człowiek prawie jak ja silny.

— Nigdy o nim nie słyszał!

W ten sposób August przypomniał sobie Zaklikę, którego zupełnie z oczu był stracił. Nazajutrz kazano go szukać i znaleziono.

Biedny Rajmuś korzystał z tej sposobności, by króla prosić o uwolnienie od służby. August potrząsł głową.

— Nie uwolnię cię, bo mi jesteś potrzebny — zawołał — mam skarb, który chcę twej sile i poczciwości powierzyć; pójdziesz na dwór pani Cosel... będziesz czuwał nad jej bezpieczeństwem... jeździł za nią, chodził i strzegł, choćby życie przyszło ważyć, aby włos z głowy jej nie spadł.

Zaklika uszom nie wierzył... zarumienił się, zamilkł i pokłonił, nie pytając więcej. Los usłużył mu lepiej, niż Fröhlich.

Pani Cosel zdumiała się i zaczerwieniła, zobaczywszy go w liczbie ludzi swojego dworu. Zrazu oburzyło ją to, ale dowiedziawszy się, że był przysłany przez króla, zmilczała. Król tegoż wieczora wytłómaczył, dlaczego przysłał jej Zaklikę. Na ustach prawie miała piękna pani swą przygodę w Laubegaście, ale nie powiedziała jej królowi... i Zaklika pozostał na swem miejscu.

Fröhlich, zobaczywszy go w kilka dni potem, tłómaczył się przed nim, iż mu się nie udało dotąd uwolnić go ze służby.

— Na miłość Boga! panie Fröhlich — zawołał Zaklika — ja już zostaję, gdzie jestem, i proszę się o mnie nie troszczyć.

IX.

Któżby się wpośród tych wszystkich płochych zabaw i sieci intryg domyślić mógł nawet odgrywającego dramatu, w którym August II tak nieszczęśliwą i smutną grał rolę? Były to właśnie lata najazdu szwedzkiego na Polskę, lata zwycięstw Karola XII, a miłostki króla pocieszały go po przegranych bitwach na chwiejącym się tronie. Wśród tych nieszczęść czarne oczy hrabiny (mianowana już była nią przez cesarza Józefa I) pocieszały Augusta, sypiącego krociami na budowanie pałacu dla ulubienicy, gdy wojsk nie było czem utrzymać.

Wśród szalów i hulanek walił się ów gmach dwóch państw, których gruzy herkulesowych ramion króla ugiąć ani humoru jego zachmurzyć nie mogły. Saksonia wyścieńczała się na utrzymanie Polski, której zrzeczenie się ostateczne z każdą chwilą było konieczniejszym.

Pomiędzy dwiema bitwami wydawano bale i maskarady, król wracał do Drezna i szukał w tych szalach zapomnienia swych strat i upokorzeń.

Przy muzyce balowej dawano instrukcje tajnym po-

słom, szpiegom i intrygantom, którzy na rzecz Augusta starali się napróżno sprzymierzeńców pozyskać. Nadzwyczajna siła owego saskiego Herkulesa nie objawiała się najglówniej w kręconych sztabach i łamanych podkowach; największą siłę okazywał pewnie, mogąc podolać nieszczęściom, które nań spadały, intrygom, ucztom, płochym miłośkom i zamętowi, jaki go otaczał. Z pola bitwy powracał do Cosel, od Cosel uciekał do gabinetu, gdzie się tajne krzyżowały depesze, balowano wieczorem, ucztowano nocą. Aby długie lata życia fałkiemu bez chwili spoczynku starczyć duchem i ciałem, trzeba było niechybnie wyjątkowych sił, jakimi August był obdarzony.

Z pogodną zawsze twarzą okazywał się zdziwionym tłumom, i największe niepowodzenie nie zarysowało jednej na czole jego zmarszczki.

Panowanie pięknej Cosel, które miało trwać krótko, zaniósł na długie lata. Hrabina uważała się, otrzymawszy od króla obietnicę ożenienia na piśmie, za drugą, za prawdziwą jego żonę. Postępowanie jej stosowało się do tego. Na jedną chwilę prawie nie odstępowała Augusta, była z nim zawsze i wszędzie, gotowa w podróż i na wojnę. Żadne niebezpieczeństwo jej nie odstraszało.

Wprędce umiała poznać charakter Augusta i dojrzeć sieci snujących się intryg dokoła; ze spokojem umysłu i wesołością niezachwianą niczem, bawiła go, rozrywała, rządziła nim i z każdym dniem większą uzyskiwała władzę.

Jawnem wkrótce było dla wszystkich, iż z Cosel wojować nikt nie mógł, ani pomyśleć przeciw niej działać. Jeśli płochy król na chwilę zapomnieć o niej potrafił i ostygł oddaleniem, Cosel umiała przyspieszyć spotka-

nie i w kilka godzin władzę swą dawną odzyskać. Piękność jej szczęściem zdawała się spotęgowaną. Napróżno oczy zazdrosnych kobiet śledziły w niej zmiany, znużenia, przekwitu; jakby nieśmiertelną obdarzona młodością, kwitła coraz piękniejsza.

W następnym roku zaraz król obok zamku kazał wznieść pałac dla hrabiny. Było to cudo i arcydzieło. Zwano go pałacem czterech pór roku. Na każdą z nich osobne przeznaczono tu pokoje: chłodne na lato, ciepłe, wesole i słoneczne na zimę. Pierwsze z nich ubrano w marmury, drugie wysłano kobiercami. Sprzęty i ściany świeciły od złota, chińskich lak, jedwabów, koronek, co tylko najwykwintniejszego i najdroższego znano wówczas w Europie. Wojsko było niepłatne, lecz pałac cudowny...

Świetnym balem otwarły się jego podwoje, a Cosel, okryta brylantami, zwycięska, piękna jak bogini, białą rękę podała temu na znak wdzięczności, którego mężem po cichu zwała. Płochy August, choć sobie zawsze pewnych słabostek pozwalał, w Cosel był najmocniej zakochany. Czarem płonęły jej oczy, a cudzoziemcy, co ją na szczycie chwały i wielkości widzieli wówczas, z zachwytem mówili o niej.

Z niezmierną zręcznością Cosel rozpościerała swą władzę, jednała przyjaciół, zawiązywała stosunki; lecz nie mogła uniknąć obudzenia niechęci, zazdrości, obawy w ludziach, którzy wszechmocy jej trwożyć się mieli prawo. Chwila działania przeciw tej, którą wprowadzono na tron, lękając się spokojnej i łagodnej księżnej Teschen, nie wybiła jeszcze...

Każdy dzień nowym był dla niej tryumfem. Napró-

zno duchowieństwo, zgorszone tem jawnem króla przywiązaniem, poczęło, z namowy niektórych dworaków, grzmieć z kazalnie przeciwko pięknej Betsabe... Gerber, sławny naówczas kaznodzieja, jednego dnia edmalował ją tak wiernie ludowi, iż szmer się wszczął w kościele, w którym przebrzmiewało jej imię.

Przez cały dzień nie mówiono w mieście, tylko o Cosel-Betsabe. Wieczorem doniesiono królewskiej ulubienicy o napaści kaznodziei. August, przychodząc do niej wesół, zastał ją we łzach.

— Co ci jest, moje śliczne bóstwo? — zawołał, chwytając ją za rękę.

— Sprawiedliwości, królu! — zaczęła, łkając i zanurzając się od płaczu — mówisz, że mnie kochasz... Gdybym miała twe serce, bronilbyś nieszczęśliwej... Publicznie obelgami mnie obrzucają...

— Cóż się stało? — począł król niespokojny.

— Żadam ukarania Gerbera! trzeba przykładu przeciwko zuchwalstwu, które nic, nawet korony poszanować nie umie.

Rzuciła się na kolana przed panem.

— Gerber z kazalnicy opisał mnie, jako Betsabę...

Król się uśmiechnął.

— Ja nią nie jestem, ja nią być nie chcę! ja-m prawdziwą żoną twoją, panie mój! — wołała Anna, obejmując go — ukarz go, uczyni przykład...

Na ten raz August nie wziął do serca urazy pani Cosel.

— Kapłan ma jedną w tygodniu godzinę — rzekł — w której mu wszystko, co chce, mówić wolno: ja przeciw niemu nic nie mogę. Gdyby, zszedłszy z ambony, szepnął

jedno słowo, byłby ukarany niechybnie... Tam, miejsce go broni...

Gerber pozostał niepokornym, jednakże więcej historyi o Betsabe nie powtarzał.

Wśród największych klęsk, jakimi były odznaczona te lata, rozwijała się owa miłość królewska. Dziki Karol XII z ostrzyżoną krótko głową, w ogromnych butach za kolana, żołnierz surowy i bezlitośny, niesprawiedliwością jakąś losu gnębił pięknego króla w koronkach, aksamitach, harcującego pod złocistą zbroją przeciw niemu. Opowiadano o nim bajeczne dzieje... August słuchał i milczał. Gwałtem pędzone do pułków gromady Sasów dawały się bić i rozpierzchały. W Polsce, mimo Flemingów, Przebendowskich i Dąbskich, słabł urok króla najwspanialszego w Europie, który z zaciętymi usty myślał tylko, jakby kość swą całą z niebezpiecznej gry wycofać. Dawna kochanka pana, hrabina Königsmark, wysłana w potajemnem poselstwie, nie dokazać nie mogła. Karol XII mówić z nią i z nikim nie chciał.

Szczęście z każdym dniem opuszczało Augusta II. Böttiger złota nie mógł zrobić, Hoym go dostarczyć, a Cosel milionów potrzebowała. Ludzie zbiegali w góry i do wojska zaciągać się nie chcieli, a Gerberowie z ambon krzyczeli przeciw rabunkowi ludzi i gwałtom.

Szlachta z największą w świecie pokorą nie chciała się ze skóry dać odzierać.

Często biedny król musiał być w bardzo złym humorze. Trwało to jednak krótko: Cosel się uśmiechała... weselość wracała na pańskie oblicze.

Wieczorem cztery części świata tańczyły kadryle w pałacu czterech pór roku. August z Cosel Azyę przed-

stawiali. Dawne przyjaciółki pięknej pani, które spodziewały się przed nią panować i rządzić, wszystkie przedko bardzo podejrzanemi się jej stały, potem nienawistnemi. Hrabina Reuss, Hülchenówna, nawet zręczna Vitzthumowa — dostały odprawę. Cosel nie chciała sprzymierzeńców, nie potrzebowała ich, czuła się silną i silniejszą nad wszystkich.

Strach ogarniał dwór cały.

Jeden tylko Vitzthum pozostał w łaskach u pana, w łaskach u pani; Vitzthum, który nie zajmował się polityką, nie dobijał się urzędów, a króla kochał jak brata.

Lata bieły niepostrzeżone, pełne mnogich przygód, niepowstrzymane w pędzie. Fortuna, której zmiany spodziewano się co chwila, która powinna się była znużyć prześladowaniem najwspanialszego z monarchów, nie dawała mu chwili pokoju. Szwed zwyciężał, gnał, pędził i groził już zrzuceniem z tronu. August bronił się, bawiał i przeciwności losu zalewał weselością i winem. Po cichu intrygowano.

Lowy, biesiady, maskarady, bale, teatr — wszystko nakoniec przerwała wieść... o zbliżających się do Saksonii Szwedach. Karol XII gnał nieprzyjaciela aż do jego gniazda. Popłoch stał się straszliwy.

Po przegranej pod Frauenstadem, zjawiały się luźne gromady rozpierchłych zbiegów, które chwymano, wieszano i strzelano za niedopełnienie obowiązków. Nieład opanował wszystko. Dnia pierwszego września Szwedzi pokazali się w Saksonii. August nakazał mieszkańcom z dobytkiem chronić się w góry, na Śląsk, do Czech, ale już było zapóźno. Karol XII we dwadzieścia tysię-

cy ludzi wtargnął, zapowiadając bezpieczeństwo życia i mienia. Bronić się nie było podobna, musiano karmić. Szwedzi rozlali się po całym kraju, garstka pozostałych wojsk Augusta, ścigana, uchodziła aż pod Würzburg. Drezno, gdzie dowodził Sinzendorf, twierdze Königstein i Sonnenstein starały się utrzymać i miały załogi saskie.

Z Karolem razem nowy król polski, Stanisław Leszczyński, przybył do Saksonii. Z Drezna pochodziło, co żyło: królowa do rodziny w Beyreuth, matka jej z wnukiem do Magdeburga, a później do Danii. Lipsk ze strachu łupieży wypłynął cały i stał się pustynią; wywieziono towary, a sam ich transport beczki złota kosztował. Dopiero zapewnienie Karola XII dozwoliło jarmark Święto-Michalski otworzyć.

Karol zwołał sejmik saski do Lipska, aby z niego kontrybucję wycisnąć. Szlachta, chcąc się od niej uwolnić, przedstawiła królowi szwedzkiemu, że oprócz obowiązku stawienia się z koniem na wojnę, innych ciężarów nie była obowiązana ponosić.

— A gdzieżecie byli z waszymi rycerskimi końmi, kiedy ja wchodziłem? — spytał Karol XII. — Gdyby szlachta swój obowiązek spełniła, mnieby tu nie było. Gdy na dworze ucztować trzeba i hulać, nie brak ani jednego szlachcica, a gdy za kraj walczyć, siedzą w domu... Tylko od was, panowie szlachta, żądam kontrybucyi; możecie ją sobie wziąć, skąd chcecie... ale inni będą wolni...

Po zrzeczeniu się zupełnem korony polskiej na rzecz Leszczyńskiego, podpisany został traktat altranstadzki 1706 roku, a tymczasem w Polsce się jeszcze bito i August nie przyznawał się do tego, co podpisał. Udawał, że

wysłani dla zawarcia układów Imhof i Pfingsten przekroczyli dane im pełnomocnictwo i, ratując honor swój, zasadził ich do więzienia.

August, który w istocie pokój ten, ocalając resztki, zawrzeć musiał, zapierał się go potem zupełnie, gdyż w świecie surowo go bardzo sądzono; upadek był straszny, a wydanie Patkula dobijało go w oczach wszystkich. August sam czuł, że dźwignąć się będzie bardzo trudno, i głuszył w sobie wspomnienie tego haniebnego ratunku.

Mimo obietnicy opuszczenia Saksonii po zawarciu pokoju, Szwedzi przez rok cały pozostali tutaj.

Tryumfujący Karol XII przyjmował tu posłów wszystkich państw niemieckich i Anglii. August, który na placu boju zrazu był w Polsce, i po wygranej pod Kaliszem ożywiony nadzieją, że się poprawią sprawy, zwoływał znowu szlachtę, wkrótce jednak zmuszony był opuścić Warszawę, Kraków i wracać do Saksonii.

Pani Cosel, która zrazu towarzyszyła królowi w bitwach, obozie, wśród niewygód kampanii, poprzedziła go do Drezna. Taka była wola króla. Zaklinała go, aby jej dozwolił przebrać się po męsku i walczyć przy swym boku. Na to August odparł grzecznie, iż z dwóch najdroższych mu rzeczy: korony i Cosel, chce choć jedną ocalić i widzieć bezpieczną.

Zaklice, który na krok nie odstępował swej pani, powierzył król odprowadzenie jej do Drezna. Rajmuś nie spał, nie jadł i z zapalem zakochanego spełniał więcej własne swe natchnienia, niż rozkazy. Cosel rzadko nań nawet okiem rzuciła. Chora i smutna wracała do stolicy. Lecz raz tu przybywszy, chwyciła władzę w białe rączki

i, silna królewską miłością, rządzić się poczęła, jak królowa, wbrew Fürstembergom, namiestnikom i wszystkim, którym król jakieś powierzył zwierzchnictwo. Pomnożyło to liczbę jej nieprzyjaciół.

Wśród wojny i krwawych scen jej, August nie przestał być sobą; miłość zawsze w jego życiu zajmowała najważniejsze miejsce. Tracił królestwa, ale zdobywał serca.

Panowanie hrabiny Cosel urozmaicało się epizodami, wśród szczęku broni odgrywanymi. Namietność do niej żyła jeszcze w sercu króla, lecz ile razy się od niej oddalił, wracał do płochych swych obyczajów. Biedny, zwyciężony, teraz więcej, niż kiedykolwiek, potrzebował się bawić, a dworacy, dla których Cosel była straszną, sprzyjali chętnie wszystkiemu, co go dla niej oziębiać mogło.

Odsunięty przez nią Fürstemberg, hrabina Reuss i cała klika nieprzyjaciół szukała już środków, jakby władzę Cosel podkopać i obalić ją mogli. Anna ufała nazbyt w swe wdzięki i przewagę, by się o to troszczyła zbytnio. Donoszącym jej o tem odpowiadała niedowierzającym uśmiechem. Węzeł, który ją łączył z królem, wzmocniło przyjście na świat dwóch córek. Dumna pani mówiła sobie, iż drugiej jej podobnej August znaleźć nie może: ona jedna mogła podzielać wszystkie jego zabawy i nie wzdrygnąć się ani igrzysk, ani strzałów, ani szalonej jazdy, ani obozowań pod gołym niebem.

A jednak, już w czasie pobytu w Warszawie, serce jej mówiło nienadaremnie, że została zdradzona. Król, wykradając się przed nią, zawiązał stosunek z córką francuskiej kupcowej, do której sklepiu na wino uczęszczali

oficerowie. Anna groziła, dowiedziawszy się o tem, królowi, że mu z pistoletu w łeb wypali; król śmiał się, całował jej rączki i przebłagać potrafił. W istocie, mimo tych zalotów, kochał ją, ze wszystkich ulubieniec tronu była mu najmilsza; ona jedna bawić go nieustannie umiała, z nią jedną był szczęśliwym!

Niespokojna o króla, wróciwszy do Drezna, Cosel pocieszała się tem jedynie, że, otoczona własnym dworem wielbicieli, na których jej nigdy nie zbywało, choć się z nich wyśmiewała nielitościwie, dokuczała wymaganiami swemi namiestnikowi Fürstembergowi. Wojna, wydatki, zniszczenie kraju, stracona korona, nie zmieniły bynajmniej życia Cosel, nie zmniejszyły zbytków. Utrzymywano po królewsku hrabinę, pieoszono Böttigera, który lada dzień miał zrobić złoto. Fürstemberg jeździł otoczony gwardya, śpiewacy i kapela włoska kosztowały tysiące, a tymczasem Karol XII zajmował Saksonię i Patkula wydawano na śmierć męczeńską.

August wśród tych klęsk z wypogodzoną twarzą grał rolę półboga.

Wśród szczęku oręza, podpisawszy traktat, hańbę swą, August II powrócił do stolicy; a za ledwie powozy stanęły w dziedzińcu zamkowym, wprost udał się do pałacu hrabiny Cosel.

U drzwi jej apartamentu zastał wiernego Zaklikę, który, sparty na poręczy krzesła, w głębokiej zadumie był zatopiony. Ujrawszy króla, Rajmuś się porwał, wstrzymując Augusta.

— Najjaśniejszy Panie! hrabina chora... lekarz co chwila spodziewa się... przyjscia na świat...

Zlekka odepchnawszy go, król wszedł. W pokojach

głęboka panowała cisza. U drzwi sypialni usłyszał płacz dziecięcia August.

Cosel, biała jak marmur, wysilona cierpieniem, nie mogąc przemówić słowa, wyciągnęła obie ręce, wskazując mu dziecko, które staruszka trzymała na ręku. Król wziął je i pocałował, zowiąc swoim. Potem przystąpił do łóża i usiadł, czoło kryjąc w rękach.

— Anno — rzekł — świat mną wzgardzi i ty mnie kochać nie będziesz... Szczęście opuściło Augusta, jestem zwyciężony... pobity... wyzuty ze wszystkiego.

— Augustcie — z płaczem odezwała się Anna, ręce łamiąc — biednego i nieszczęśliwego, gdyby był kajdanami obciążony, mocniej jeszcze kochać będę...

— A! potrzebuję tej pociechy... — dodał król ponuro — nieprzyjaciel aż tu mnie ściga, sprzymierzeńcy są bezsilni... Zwycięzcy nikiemnie kłania się świat cały... on tu panuje, nie ja... Jestem najnieszczęśliwszym z monarchów...

Na takich żalach zbiegła godzina pierwsza pobytu w Dreźnie. Chora potrzebowała spoczynku, królowi go dać nie mogli już zbiegający się zewsząd wojskowi dowódcy i urzędnicy. W korytarzu, wiodącym do pałacu czterech pór roku, zastał ich: Flemminga, namiestnika Fürstemberga, Pfluga, Hoyma i całą gromadę, przerażonych klęskami, które na Saksonię spadały. Otoczono go kołem. Wszyscy szukali w twarzy jego oznak boleści i zniekania: król był tylko nieco zmęczony i znudzony. Ani postawa, ani wejrzenie nie zdradzały nieszczęścia, jakiego doznawał. Egoizm w nim głuszył wszystko: dopóki sam czuł się całym, nie bolało go nic, nie rumienił się niczem.

Dnia 15 grudnia 1706 roku przybył August do Dreżna... nazajutrz zniknął... Samotrząć z Pflugiem i jednym sługą był już konno w Lipsku... trzeciego dnia jechał do Karola XII, pewien, że jasnością oblicza i wielkością swą na nieublaganym Szwedzie wyrobi lepsze pokój warunki.

Dowiedziawszy się, iż król saski jedzie doń, Karol XII chciał być grzecznym i wyjechał przeciwko niemu. Dwaj królowie rozminęli się w drodze. August, przybywszy do Günthersdorfu, gdzie stał hrabia Piper, dowiedział się, że w Altrandstadzie (o pół godziny drogi) króla szwedzkiego nie było.

Dziwnie wydać się musiał dwór i obóz surowego, postrzyżonego Karola XII ufryzowanemu Augustowi.

Spotkali się dwaj monarchowie na schodach. Nigdy może dwa charaktery z sobą sprzeczne wyrazić się w postaciach nie malowały. Karol XII wyglądał na purytanina, Sas na dworaka Ludwika XIV. Zjadli wrogowie przywitali się z wielką serdecznością. U drzwi pokoju wszczyły się ceremonie, kto ma wniknąć przodem; kłaniali się obaj długo, Karol XII puścił pobitego przed sobą. Nastąpiły najczulsze pocałunki i ściskania rąk, a potem rozmowa w oknie, która trwała godzinę, której nikt nie słyszał, z której August II wyszedł błądy i zmęczony...

Dzień ten spędzony z Karolem XII zacieżył na życiu króla; nie wspominał o nim nigdy... Nazajutrz milczący powrócił do Lipska, gdzie Karol XII etykietałnie krótką oddał mu wizytę. W traktacie jednak nie pono się nie zmieniło.

Rok następny ciężko się rozpoczął dla króla. Dusila

go ta Szwedów przytomność na saskiej ziemi, chciał się ich pozbyć, choćby największą ofiarą. Pomiędzy Altrandstadem, Moritzburgiem, Lipskiem, starając się o ratyfikacją traktatu, spędzał August dni upokorzenia.

Król saski w złocistej sukni à la française, w al-longe-peruce utrefionej starannie, okryty klejnotami, obok Karola XII z ostrzyżoną krótko głową, w sukienym mundurze granatowym ze stalowymi guzami, w butach za kolana i losiowych spodniach, spotykali się, wywzajemniając grzecznościami, ale Karol XII nie dopuścił rozmowy do polityki i interesów. Te obrabiał Piper i Cedernhiölm. Karol XII między innymi zapewniał króla saskiego, że od lat sześciu prawie długich butów swych nie zrzucał; nie miał czasu... August się uśmiechał.

Zaproszenia do stołu w Lipsku Karol XII nie przyjął nigdy. August, choć mu spartańska polewka Szwe-da nie smakowała, zasiadał z nim i męczył się, bo u stołu Szwe-da nigdy słowa nie mówiono. Jedli wszyscy w milczeniu... a obiad trwał godzinę.

Po podpisaniu traktatu, parę miesięcy królowie się wcale nie widywali z sobą. Karol XII jednak wychodzić z Saksonii nie myślał. Znudzony w końcu August II, mówią, że, spotykając nawet Szwe-da w Lipsku, udawał, iż go nie widzi.

Miał biedny król w istocie wiele na głowie, nie licząc tej nieprzyjacielskiej załogi. Musiał polować i kochać i płatać intrygi dworaków, aby o swej biedzie zapomnieć.

Dwór był zawsze równie świetny. Karol XII nieustannie odbywał mustry swoich żołnierzy: August II

wydawał bale... Truł mu tylko spokój i rozkoszne sny niezdolny Fürstemberg, ówczesny przypadkowy namiestnik w Dreźnie.

O tym nieprzyjacielu teraźniejszym Anny Cosel kilka słów dopowiedzieć musimy. Wśród dworu Augusta, złożonego z cudzoziemców i Niemców z różnych krajów, dlatego, by wpływ saskiej szlachty usunąć, Fürstemberg w istocie zrazu obco się wydawał. Przybył tu z cesarstwa, był katolikiem i bardzo gorliwym, nie zalecał się wielce charakterem, ani nadzwyczajnymi zdolnościami; lecz miał śmiałość, wesołość, mowę głośną, dowcip żywy i dar wmawiania królowi największych niedorzeczności. Fürstemberg grał tu rolę magnata i arystokraty, a zajmował się najpilniej walką skrytą z nieprzyjaciółmi i wiązaniem intryg coraz nowych. Wierny hrabia Reuss był narzędziem. Dom jego i towarzystwo służyło Fürstembergowi. Ani się spostrzegł zrazu przeznaczony na odpieranie szlachty saskiej księżę, jak sam się jej dał związać. Schwycili go Friesenowie przez hrabinę Reuss i zaprzęgli do swojego wozu.

Cosel, po swem wyniesieniu, wprędce uwolniła się z więzów Vitzthumowej, pani Reuss i jej kółka; zdawało jej się, że potrzebować ich nie może, a nie chciała nawet z pozoru za narzędzie im służyć. Oziębienie i zerwanie stosunków było hasłem do wypowiedzenia podziemnej wojny.

W czasie niebytności króla, szpiegowano każdy krok Anny, powtarzano każde jej słowo, tłómaczono każdą czynność, aby się tem później posłużyć przeciw niej u króla. Pora działania jeszcze nie była przyszła... Für-

stemberg czekał i wstrzymywał innych... Powrót króla był tryumfem Cosel.

W czasie, gdy jeszcze z łóżka nie wstawała, a chciała mieć ciągle Augusta przy sobie, jednego rana oznajmiono królowi, iż pilne depesze przysły z Warszawy (gdzie król zawsze miał jeszcze stronników). Chciał wyjść, Cosel prosiła, aby ministra Bose wpuszczono z nimi do jej sypialni. Nic w tem nie było nadzwyczajnego: despotycznej woli jej, wyrażającej się gwałtownie, król uległ. Wpuszczono pana Bose.

Z trzech tego imienia na dworze Augusta znanych wysokich urzędników, wchodzący z ceremonialnymi nader i niezmiernie niskimi ukłonami, Bose był najstarszym, a jak mówiono, najmądrzejszym.

Zaczął od uczczenia majestatu, zgławszy się tak, iż tylko perukę jego król mógł widzieć, a ta nie należała do najwykwintniejszych. Taką samą czcią powitał piękną chorą, która, cała w puchach i koronkach zażrzebana, wyglądała jak biała na śniegu różyczka.

Pod pachą niósł Bose papiery.

Cichuteńko szepnął królowi:

— Pilne, z Warszawy...

Obaj z nim ustąpili ku jednemu oknu, które nieco roztwarte było, gdyż inne grube okrywały zapony. Cosel nie spuszczała ich z oka. Dosłyszała ten wyraz „z Warszawy“ i badała zdala twarz króla, aby z niej wyczytać, co znalazł w tych papierach. Bose z uszanowaniem w dwu chudych, kościstych palcach, wyglądających z mankietów nakrochmalonych, podawał najjaśniejszemu kopertę po kopercie. Zrazu szła jedna po drugiej poważne z wiel-

kiemi pieczęciami... Cosel nie ruszała się z łóżka i trzymała spokojnie głowę spartą na ręce.

Wtem Bose coś szepnął i wręczył królowi list mały, niezgrabny, podejrzany. Król rozerwał kopertę, rzucił nań okiem, uśmiechnął się i zarumienił: mimowolnie wzrok jego pobiegł na Cosel.

Anna usiadła niespokojna.

— Co to za list? — spytała.

— List w sprawach kraju; cóż chcesz? — rzekł król.

— Proszę mi go pokazać! — krzyknęła chora.

— Niepotrzeba! — rzekł zimno król, czytając dalej.

Twarz Cosel zapłonęła; zapominając o przytomności szanownego staruszka, który się cofnął, jak piorunem rażony, zakrywając oczy, Anna w koszuli skoczyła i wyrwała papier z rąk Augusta. Król się zmieszał, spojrział na radcę. Ten stał w pokornej postawie człowieka, który nie wie co począć z sobą.

Cosel pożerała list oczyma, w największym gniewie rozrywając go w kawałki. Przecucie nie omyliło jej: list był od Henryety Duval, którą król, oszukując Cosel, poznał w Warszawie, a donosił Augustowi o narodzeniu córki, która później być miała sławną ową hrabiną Orzelską. Biedna matka kończyła, pytając króla, co każe uczynić z dziećciem.

— Niech je wrzuci do wody! niech je utopi! — krzyknęła Cosel — tak, jakbym ja ją utopiła, gdybym mogła!

Król śmiał się, Anna zaczęła płakać. Bose z nowymi pokłony, widząc, że nie w porę przyszedł, cofał się ku drzwiom.

— Cosel, na Boga! uspokój się! — rzekł król, przystępując do łóżka.

— Jakto? ty, któremu ja poświęciłam wszystko, którego jestem żoną, która ciebie jednego kocham... śmiesz mnie zwodzić, zdradzać...

Nie pierwszy to był wybuch zazdrości Anny, która odgrażała się za każdym króla bałamuctwem i nie dawała spokoju Augustowi, aż u nóg jej o przebaczenie prosił i poprawę przyobiecał.

Przebłagać ją tym razem było trudno, August całował ją po rękach napróżno.

— Cóż chcesz, żebym uczynił? — zawołał.

— Jeśli słowem jednym odpowiesz tej niegodziwej, jeśli dasz znak życia i zajęcia się nią — krzyknęła Cosel ze wzrastającą popędlivością — biore pocztę, jadę do Warszawy, zabiję matkę i córkę... Przysięgam!

Król przyrzec musiał i dać słowo rycerskie, iż się nie odezwie, że zapomni i własnemu losowi zostawi swych kaprysów ofiary.

Tak naostatek skończyła się ta scena, o której Bose nikomu nie wspomniał, bo nikt nad niego nie lękał się więcej narazić niepotrzebnie wszechmocnej pani. Jego polityka zależała na tem, by chodzić cicho i takimi drogami, na którychby go nikt dośledzić i dostrzedz nie mógł. Ludzi wielu miało go za prostodusznego staruszka: mówił mało i udawał, że nie wie.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Muzeum
JIK
ROMANOWIE
1472

